

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 4 SIERPNIĄ 1928 ROKU

NR 32

TREŚĆ NUMERU: Uświadomienie obywatelskie kobiet — *Dr. Herminja Naglerowa*. Matka nad kołyską — *Jadwiga Krawczyńska*. Zawody letniskowe — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „List”, „Żniwa” — *Felicja Kruszevska*. Zwyczajne dzieje (c. d.) — *Karol Poraj-Koźmiński*. Willa pod miastem (c. d.) — *M. Morozowicz - Szczepkowska*. Polskie Biarritz — *Stefanja Podhorska-Okołów*. Dusza kobiety (c. d.) — *Gina Lombroso*. Z teatrów. Kobieta w świecie i w domu — *N. J. i H. S.* Jak się zestarzeć — *N. J.* Obrazy z historii mody — *Stefanja Zahorska*. Wykształcenie zawodowe kobiet — *Zofja Miszevska*. Gołębie — *W. D.* Ryby morskie — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty”: Koronkowa moda — *Wel!*. Futerał do kart do gry. Modne abażury — Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy” — *M. Beniśawska*. Arkusz wzorów,

UŚWIADOMIENIE OBYWATELSKIE KOBIEC

Stwierdzić należy, że ogół naszych kobiet, mimo dość dużego zainteresowania się sprawą kobiecą, żyje w chaosie pojęć o prawach i obowiązkach kobiety, jako obywatelki państwa. Brak konkretnych wiadomości o ustroju Rzeczypospolitej, nieznanomość konstytucji, jako zasadniczej, wszechobejmującej ustawy — jest jednak czemś w rodzaju analfabetyzmu.

W państwie konstytucyjnym obywatel podlega bowiem pewnym normom, których przekraczać nie wolno; musi ponadto spełniać pewne obowiązki wobec państwa, posiada wreszcie konstytucją zawarowane prawa. Nie są to tylko puste określenia, gdyż ich treść i wartość ciężko wywalczała sobie ludzkość, aby w rezultacie człowiek mógł swoją wolność możliwie najlepiej pomieścić w ramach państwa i w społecznym współżyciu.

Dzisiejsza kobieta, która dopiero niedawno otrzymała obywatelstwo w pełnym tego słowa znaczeniu, powinna więc poznać zakres tej zdobyczy, choćby dlatego, by móc sprawdzić jej wartość dla siebie. Chcemy przecież, aby ogół kobiecy nie był bierną masą, nie zdającą sobie sprawy z własnej wartości, jako czynnika państwowo-twórczego.

Poznanie praw i obowiązków obywatelskich wzmoże więc w każdej kobiecie świadomość tej wartości i zwiąże ją z całokształtem spraw państwa. Takie poczucie przynależności, a jednocześnie współakcji, jest przecież jednym z najważniejszych warunków wewnętrznego rozwoju i siły państwa, którego się jest

obywatelem. Za czem idzie poznanie możliwości ewolucyjnych, skupianie dążeń i zrozumienie każdorazowych potrzeb państwa. Martwa litera praw i ustaw nabiera wtedy życia, a praworządność nie jest już tylko krępującą, narzuconą dyscypliną, lecz wewnętrzną potrzebą każdej uświadomionej państwowo jednostki.

W tej dziedzinie ignorancja i dyletantyzm naszego ogółu kobiecego (nawet w sferach inteligencji) wyrządza olbrzymie szkody zarówno państwu, jak i samym kobietom. Wśród kobiet panuje bowiem stale nastrój wzburzenia, niezadowolenia i bojowości. Zapewne przyczyna tego stanu „podenerwowania” tkwi w tem, że nie skończyła się jeszcze walka o prawa, a nie osiągnęliśmy nawet jeszcze zrealizowania teoretycznie przyznanych nam praw. Trzeba jednak wiedzieć, czego należy i czego wolno się domagać, w czem nas krzywdzą, a co się nam należy na zażądanie i upominania się będą miały konkretną podstawę w naszym uświadomieniu obywatelskim, walka którą toczyliśmy, zdobędzie najlepszy strategiczny teren. Dziś ta walka, jeżeli chodzi o szeroki ogół kobiecy, jest niejednokrotnie zawieszona w próżni. Argumentacja uczuciowa nie jest przecież skuteczną bronią w walce o byt. Trzeba więc, aby kobiety wystąpiły się ośmieszającej ich ignorancji, to znaczy — trzeba nabyć konieczne wiadomości z zakresu ustawodawstwa naszego państwa. Prawie dziesięć lat naszego

państwowego istnienia powinno nas już było wykształcić na uświadomione obywatelki.

Oczywiście, było to w pierwszym rządzie obowiązkiem naszych działaczek politycznych i społecznych, żeby wśród ogółu kobiet szerzyć znajomość i poczucie praw i obowiązków obywatelskich. Stało się jednak, że walczone o prawa dla kobiet, nie czyniąc jednocześnie nic dla podniesienia obywatelskiego poziomu tych kobiet. Może właśnie z powodu tego zaniedbania „równouprawniona“ kobieta w Polsce nie jest jeszcze—równouprawniona. Wiedząc niewiele, albo nie wiedząc nic o organizacji państwa, w którym wybiera posłów do Izby Ustawodawczych, kobieta polska ulega łatwo wpływom, nie ma swojego zdania, nie wie, co jest korzystne dla państwa i dla niej, jako członka pewnej warstwy społecznej. Nic dziwnego, że potem odczuwa krzywdy, że traci zaufanie do wartości tych niby „praw“, albo, co gorsze, odnosi się do swoich praw i obowiązków z lekceważeniem, lub z naiwnością.

Naprawienia tego stanu rzeczy podjął się teraz Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet. W ramach Związku istnieje bowiem specjalny Wydział Uświadomienia Obywatelskiego, którego zadaniem jest szerzenie wśród członków Związku t. zw. wiadomości obywatelskich.

Praca Wydziału Uświadomienia Obywatelskiego obejmuje więc: ustrój państwa, jego sytuację zewnętrzną i wewnętrzną pod względem politycznym, gospodarczym i społecznym, znajomość ustawodawstwa państwowego i samorządowego, ze szczególnem uwzględnieniem ustaw i rozporządzeń, regulujących prawa kobiety w Polsce, zaznajamianie z obowiązkami obywatelskimi, jakie na kobiety nakłada istniejące ustawodawstwo polskie.

Prócz szerzenia wiadomości teoretycznych, Wydział Uświadomienia Obywatelskiego zajmie się propagandą jaknajszerszego wykorzystywania praw obywatelskich już nabytych, oraz należytego spełniania przez kobiety, wynikających z posiadanych już praw, obowiązków. Ponadto przystąpi Wydział Uświado-

mienia Obywatelskiego do przygotowania projektu obowiązującej, ustawowo przewidzianej, pracy kobiet na rzecz państwa i przygotowania kobiet do tego rodzaju pracy.

Wydział Uświadomienia Obywatelskiego, działając z ramienia związku Obywatelskiej Pracy Kobiet, zrealizuje swój program pracy przez zorganizowanie dla swoich członkiń specjalnych kursów, będzie przygotowywał instruktorki, urządzał dyskusje, referaty, pogadanki i odczyty, zajmie się wydawnictwami, dotyczącymi wiadomości z dziedziny nauki obywatelskiej. Przy sekretarjacie Wydziału Uświadomienia Obywatelskiego będzie zorganizowana „Poradnia organizacyjna pracy społecznej,“ funkcjonująca stale.

Jest to więc, jak widzimy, praca, obmyślana i zakrojona na wielką skalę, i niewątpliwie zamierzenia Związku Obywatelskiej Pracy Kobiet, oraz jego Wydziału Uświadomienia Obywatelskiego, zdążać będą systematycznie w kierunku istotnego politycznego i społecznego uświadomienia kobiety-obywatelki. Przyczyni się to do wzmożenia aktywności ogółu kobiecego, ożywi jego zainteresowania, pogłębi je, a temsam nada prawdziwą wartość tym prawom, które kobieta w Polsce otrzymała i otrzyma.

Niemniej też uświadomienie obywatelskie kobiet przyniesie nowe, a konkretne korzyści państwu. W tej chwili, bowiem ogół kobiet posiada tylko ilościowe walory. Jakościowo natomiast jest jeszcze przeważnie ciemną masą, która wskutek swojej bierności mogłaby w pewnych momentach życia państwowego stać się nawet szkodliwą dla państwowotwórczych dążeń naszej młodej Rzeczypospolitej. Sądzę jednak, że jest w nas zbyt wiele entuzjazmu i ambicji, abyśmy nie chciały zabrać się do roboty nad własnem uświadomieniem obywatelskiem. Zdobędziemy zresztą tą drogą nową, silną podstawę dla własnych dążeń, a państwu służyć będziemy nie jako wartości drugo, trzecio i ostatniorzędne, ale — równorzędne. Trzeba więc tylko umieć chcieć i niezwłocznie zabrać się do sumiennej pracy!

Dr. Herminja Naglerowa.



JADWIGA KRAWCZYŃSKA

MATKA NAD KOŁYSKĄ

Bardzo wiele poezyj i niemało wierszydeł pisano już ku czci kobiety - matki. W ciągu wieków literatura i krasomówstwo składały jej hołdy. Sławiono ją górnolotnymi epitetami; sadzano na pierwszym miejscu przy ognisku domowym, wysilano się na frazesy o jej trudzie i poświęceniu, o powadze i świętości jej powołania — nie myślano jednak, aby przyznać jej prawo do dziecka, aby w czemkolwiek ulżyć realnie ciężarowi i cierpieniom macierzyństwa...

Trudno może o bardziej złośliwy przykład historyczny zaniedbania przez ludzkość tak powszechnej, prymitywnej, a zarazem pierwszorzędnie doniosłej sprawy — jak macierzyństwo.

Dopiero za naszej pamięci zaczyna się szerzej propagować myśli o konieczności fachowego przygotowania kobiet do roli matki; dopiero obecnie domagamy się takich praw, jak ustawowe zrównanie matki z ojcem w sprawach wychowania dzieci, jak dochodzenie ojcostwa.

Zaledwie zaczynają się we wszystkich cywilizowanych krajach studia eugeniczne, dotyczące macierzyństwa, w początkowym stadium znajduje się też popularyzacja odpowiedniej higieny. Pierwsze kroki stawiają instytucje opieki społecznej nad matką i dzieckiem, a ustawy o ochronie macierzyństwa ludzkiego są nowością w świecie cywilizowanym, który zna dawno ochronę żubrów, zajęcy i kuropatw!

Rzeczywiste trudy i troski matki, zwłaszcza w pierwszych momentach macierzyństwa i podczas niemowlęctwa dziecka, są tak wielkie w dzisiejszych czasach, że bez zorganizowanej pomocy społecznej obejść się mogą jedynie kobiety bogate, stanowiące liczebnie niewielką kastę. Brak potrzebnej pomocy higieniczno-lekarskiej, brak wygod i odpoczynku, konieczność przedwczesnego po urodzeniu dziecka powrotu do pracy zarobkowej — opłaca olbrzymia większość kobiet ze sfer inteligenckich, robotniczych i wieśniaczych zniszczeniem zdrowia i wyczerpaniem sił. Oczywiście, wywiera to niezwykle ujemny wpływ nie tylko na stan zdrowia matki, ale i na zdrowie potomstwa, a więc w konsekwencji — na życie rodzinne w ogóle i na jakość materiału ludzkiego, na siłę rasy.

Jakkolwiek piękną jest czysta poezja o macierzyństwie — to w naszych ciężkich, prozaicznych czasach stokroć ważniejszą jest troska o ochronę macierzyństwa, o opiekę moralną, higieniczną i materialną nad matką i niemowlęciem.

Ale olbrzymia i wprost niezrozumiała była dotychczas abnegacja (czy może — niedołęstwo?) kobiet, które znoszą mnóstwo cierpień, zbladłe od trosk,

zgięte od trudów, i nie tylko nie upominają się wielkim głosem o poprawę doli swej i swych dzieci, ale wprost niechętnie zachowują się wobec prób zjednoczenia się w jakąkolwiek organizację samopomocy, czy współpracy dla własnego dobra.

Dlatego nimb, którym z wielu przyczyn słusznie otoczono wizerunek matki nad kołyską dziecięcia — niezmiernie błędnie w naszych czasach, które wymagają od kobiet czynnego udziału w życiu społecznym, a zwłaszcza w sprawach, obchodzących je najbliższej. Bo nie egoizm, a rozum społeczny dyktuje, iż przyszłość ludzkości i rozwój narodu zależy od jakości nowych pokoleń, a więc od możliwie udoskonalonego — jeśli tak powiedzieć wolno — macierzyństwa.

To nie tępe samolubstwo, lecz ideał społeczny odzywa się w kobiecie, gdy upomina się ona o pomoc i opiekę dla swego macierzyństwa; to głos przyszłych pokoleń ostrzega ją wstrętem, gdy nie chce mieć dzieci z alkoholikiem; to mądrość, nie lenistwo lub wypieranie się obowiązku, każe jej wołać o zło-bek, ochronkę, wzorowy zakład wychowawczy dla dziecka, bo czuje, że sama nie jest w stanie dać dziecku tego wychowania, jakie dziś tylko we wzorowych społecznych instytucjach specjalnych osiągnąć można.

Wzgląd na dobro dziecka i na jego możliwie doskonały rozwój powinien ważyć przedewszystkiem w poczynaniach matek. Nasze jednak naogół pojęcia o macierzyństwie tkwią w stadium tak pierwotnym, iż z całą lekkomyślnością i brakiem odpowiedzialności podejmujemy same na swe wątle barki zadanie, o wiele przewyższające nasze siły.

Myszę tu nie o tak zwanych „złych i lekkomyślnych“ matkach, które tkwią w dancingu lub na wizytach, a nie wiedzą, co się dzieje w dziecinnym pokoju. Myszę właśnie o dobrych matkach, o tych najlepszych, które zamęczają się przy dzieciach, które poświęcają im moc czasu i trudu — i którym się zdaje, że właśnie one — one tylko same — najlepiej wychowują swe dzieci!

Błędny pogląd tych najlepszych matek mści się aż nadto często. Dziecko wychodzi z ich rąk zmanje-rowane w tem, czy w owem znaczeniu, spaczone, nieprzygotowane do życia, często wprost zmarnowane. I za swój trud, za swe wyrzeczenia matka otrzymuje gorzki owoc zawodu.

Kobiety naszego i poprzedniego pokolenia niemało nagrzeszyły w tej sprawie zbytym feminizmem. Jako reakcja przeciw przeważającym prawom ojca, powstało wśród bardziej samodzielnych kobiet (bynajmniej nie tylko inteligentek, bo feministek jest wię-

cej, niż się zdaje, w klasie pracującej, wśród kobiet niewykształconych, i są, oczywiście, bardziej zaciekle) hasło, jakoby dziecko było wyłączną własnością matki! Stąd demonstracyjne niekiedy odmawianie ojcu, zwłaszcza w stadłach nieślubnych lub rozwiedzionych, prawa nawet łożenia materialnego na wychowanie dziecka.

Stąd owe nadludzkie borykania się matek pracujących z losem — borykania, niewiadomo, czy dobro dziecka, czy raczej nasycenie zawiedzionej ambicji mające na celu — a dziś, w naszych oczach, tak bardzo zbyteczne i niepotrzebne!

Te bohaterskie grzechy matek-feministek powstały na tle fałszywej maksymy, iż „dziecko należy do matki”. Mieści się w tem orzeczeniu nietylko pokrzywdzenie uczuciowe zarówno ojca, jak dziecka (pozbawionego tym sposobem także moralnego i materialnego współdziałania ojca), lecz i zupełne zignorowanie pierwiastka społecznego. Dziecko, bowiem, jest wspólną sprawą kobiety i mężczyzny, lecz nie własnością obojga rodziców, lub tembardziej jednego z nich: jest wolną komórką społeczną, którą ukształtować w najdoskonalszą możliwie formę jest wspólnym zadaniem i rodziców i społeczeństwa, wyrażonego w szeregu specjalnych organizacji, jak instytucja państwa, religji, nauki, moralności, sztuki i t. d., które, oddziaływując rozmaicie na różne właściwości dziecka, zrobiją zeń człowieka i obywatela.

Udział społeczeństwa w wychowaniu dziecka z coraz większą siłą i koniecznością narzuca się czasom obecnym. Wpływają na to i przemożne warunki ekonomiczne i kierunek myśli nowoczesnej. Uspołecznienie życia wciąga i porywa nawet opornych. Na dokonywującą się ewolucję nie mogą być ślepe także i kobiety - matki, bo one przez swą funkcję macierzyństwa są właśnie narzędziem postępu i przyszłości pokoleń. Współpraca kobiet, poparcie, a raczej inicjowanie dzieł społecznej opieki nad macierzyństwem, co więcej: usilne dopominanie się wszelkimi siłami i na wszelkich terenach działalności — od domu, gminy, do parlamentu i do uniwersytetu włącznie — o rzeczywistą opiekę wszystkich czynników nad matką i dzieckiem, ta współpraca kobiet uspołecznionych — jest warunkiem sine qua non rozwoju naszego narodu.

Bierność kobiet-matek w kwestjach ustawodawczych (ustawa o opiece społecznej nad matką i dzieckiem, zrównanie dzieci nieślubnych w prawach, dochodzenie ojcostwa), opiekuńczych (domy dla matki i dziecka, żłobki, ochronki, zakłady wychowawcze), szkolnych, higienicznych (szpitale położnicze, dziecięce), eugenicznych (walka z gruźlicą, chorobami wenerycznymi, rakiem, alkoholizmem) — byłaby grzechem nad grzechy!

Nie chodzi tu o wygodę własną matek — chodzi o dobro dziecka, tego najcenniejszego skarbu rodziców, przyszłości społeczeństwa!



M. H. SZPYRKÓWNA

ZAWODY LETNISKOWE

Źle myśli, kto... źle o tym tytule myśli! Nie podkładałam pod pojęcie letniskowych zawodów bynajmniej tych — częstych, zaiste! — zawodów, jakie zdarzają się na letniskach. Nie idzie mi bynajmniej ani o sprawy sercowe pięknych pań, z których słyną miejscowości, by się tak wyrazić, plażowato-wakacyjnego charakteru, ani o rozbite nadzieje letników naogół, co skądinąd nie jest rzadkim wypadkiem przy zaocznych, o nawet i naocznych wynajmach mieszkań letnich.

Myślę natomiast o tem, jakie, sezonowe niejako, korzyści może odnieść z letnisk kobieta, zawodowo wykształcona w poszukiwanych w okresie letnim zatrudnieniach.

Przyglądając się życiu po uzdrowiskach, zwłaszcza u nas, możemy bez przesady wywnioskować, że lwia część prac dokoła kuracjuszków ponoszą kobiety. Właściwie, jeżeli pominąć najwyższe szczeble organizacji zarządowo-biurokratycznych, zajętych zwykle przez mężczyzn, reszta, cały właściwy, mrówczy tryb przypada na mniej lub więcej niewidzialne pracowniczki-białogłówki. Dosłownie — białogłówki! Czego więcej jest po miejscowościach letniskowych, plażowych, uzdrowiskowych? Kawiarni i restauracyj. Kto obsługuje? Biała kokarda, kokieterijnie upięta nad białym fartuszkim. Dźwiga na sobie ciężką pracę całodzienną, denerwującą i męczącą obsługi wobec setek gości, przechodzących przez ukwieconą weran-

dę. Dalej — restauracja. Kelner jest zjawiskiem raczej wyjątkowym: zastępy wakacyjnej obsługi rekrutują się z pośród dziewcząt. A plaża? Jeżeli mamy kąpiele, przeważnie posługaczkami, badenjerkami, urzędniczkami, kasjerkami i t. p. są — kobiety. Kuchnia, niewidzialna z zewnątrz, a stanowiąca niejako laboratorium widzialnych efektów, przemieniających wygłodzonych Faustów w zażywnych obywateli — kuchnia, to siedlisko udręki w gorące dni letnie: kuchnia także należy do kobiety. A stroje pań, te fascynujące, syrenie stroiki wakacyjne? krawcowa! A fryzjerki, masażystki, manicury, tysiączne zdobicielki nienasyconej bogini — Damy! A obsługa pensjonatów? Poczta, telegraf, telefon? Wszystko to są rzeczy — raczej wszystko to są zawody, niezbędne niejako na letniku, które bez tej czarnej roboty niewidzialnych pracowniczek nie jaśniałoby i nie tęczyło się nigdy tak motylą świetnością barw, takimi kolibrzemi piórkami wdzięku! Bo i któż zaprzeczy, że kobieta jest właśnie wdziękiem i ozdobą najozdobniejszej bodaj plaży, czy letniska?!

I otóż wyłania się pewna kwestja. Skąd się biorą wszystkie te fachowe siły w miejscowościach, gdzie mogą pracować nieraz dwa, najwyżej cztery miesiące? Skąd przyszły i gdzie giną? Jak mogą z tego żyć?

Oczywiście, część ich rekrutuje się z fachowo wyszkolonego materiału. Są kelnerkami, masażystkami, pokojowemi, kąpielowemi. Urządzają się jakoś, aby dostać na lato odpowiednie stanowisko z nadwyżką zarobkową, gdyż jako siły fachowe, są oczywiście poszukiwane. Siły naprawdę fachowe zawsze są poszukiwane. I wychodzą na tem dobrze.

Ale reszta?

Resztę... opłaca publiczność. Reszta polskiej, niestety, obsługi jest rekrutowana poprostu z pośród osób dobrej woli, a chętnych zarobku — a takich nie brak nigdy. Dziewczęta, które właściwie nie umieją nic, a w każdym razie — mało; personel zupełnie surowy i niewyrobiony jest angażowany w braku fachowego materiału przez zarządy, zwłaszcza, że płace w tym wypadku są skromniejsze, a więc na rękę zarządom.

Ale publiczność na tem cierpi niepomrotnie więcej, niż się narazie zdawać może — i płaci dużo drożej, niż warto, bo kieszenia, nerwami i zdrowiem!

Ile razy obserwuję sceny rodzajowe u nas po letnich restauracjach i kawiarniach, jest mi żal, przykro i wstyd. Gość jest ordynarny i brutalny, bo obsługa jest niechlujna i niedbała. Ba! Zadałam sobie trud przebyć przed paroma dniami w niedzielę, około

dwóch godzin przy obiedzie w mleczarni letniej jednego z najmodniejszych naszych uzdrowisk, na której wielkimi literami stało: Mleczarnia zakładowa. Jeden kelner obsługiwał ośm stolików, biegnąc przez trzy sale do kuchni i z powrotem na werandę, która do niego należała. Dwu panów machnęło ręką i wyszło, nie obstalowawszy nic po 25 minutach czekania. Dwie panie z krzykiem i słusznemi zresztą pretensjami wołały głośno, że to skandal i że zgłoszą kelnera do zarządu. Był zziązany, półżywy i już nic nie mówił, bo czternaście innych osób rozrywało go na części i każda miała inny zarzut, przeważnie słuszny. Zainteresowałam się, co jest z kelnerką, którą tam widziałam niedawno? W odpowiedzi machnął bez nadziejnie ręką.

— Poszła, proszę pani dobrodziejki! Zabrała się i poszła. Psia praca, można powiedzieć! zdrowie człowiek traci i tyle. Alboż to kobieta, która koło tego nie przywykła, wytrzyma? A skąd fachowej brać?

Oczywiście! Kobieta „nie przywykła” — nie wytrzyma. A — skąd fachowej brać?

I o ten brak fachowości rozbija się letnik co chwila. Zła obsługa i zły obiad — to przecież główny i ukochany temat rozmów pomiędzy uzdrowiskowemi gośćmi. I, co gorsza, najczęściej istotnie obsługa jest niżej krytyki, a jedzenie — tak samo. Czy do wiary jest że w miejscowościach, specjalnie leczniczych, chorzy jadać muszą po restauracjach pseudo-jarską kuchnię, suto zaprawną sosami i tłuszczami po mięsie, bo nie istnieją fachowo prowadzone jadłodajnie dietetyczne? Warszawa ma trzy stołownie jarskie, o obsłudze z wieloma zarzutami, ale o bardzo wystarczającej jakości dań. A tam, gdzie się jedzie za drogie pieniądze właśnie i, wyłącznie, aby się leczyć, tam, rozstap się ziemi! kobiety płaczą ze zdenerwowania, spędzając godziny na czekaniu po jadłodajniach, a te, które nie płaczą, jedzą rzeczy, które napewno zepsują dodatnie skutki wszelkich możliwych wód — wszelkimi niemożliwymi poprawami.

I myślę, że sprawa organizacji gospodarczej letnisk i uzdrowisk czeka na rękę solidnej, mądrej, wyszkolonej kobiecej gospodarki. Mężczyzna nigdy nie wejdzie i nie dojrzy wszystkiego, co stanowi szkopuł w naszym letniskowym wypoczynku. Powinaby się zawiązać jakaś spółka Gospodyń - Organizatorek — i szkolić przez zimę cały sztab pracowniczek letniskowych, któreby potem lato z wdzięcznością przyjęło, jak znalezione: takie kobiety, któreby „przywykły” — nie porzucały w toku służby, ani też nie pełniły jej niedbale, ze szkodą swoją i cudzą.



FELICJA KRUSZEWSKA

L I S T

Pod niebem jest pełno a pusto. I nic się naprawdę nie dzieje.
Po polu, po łące, po lesie wiatr bezrozumny szaleje.

To... list. Na listki go rozsyp i wywóż z maleńkich liści,
ile w tem jest tęsknoty, a ile nienawiści.

Świerszcze tak dręczą. Tuż w skroniach. Przy drodze pachnie kurzem.
Słońce jest tylko światłem nudnawem, ciepłem i dużem.

Łopiany, trochę piołunu, a zresztą same osty.
Pachną w brązowej wodzie splątane wodorosty.

Mogłabym ci powiedzieć... i tylko słów mi szkoda.
Liście są ciepło-wilgotne. Paląca jest rzeczna woda.

Niepokój we mnie rośnie, jak dzikie chwiejące się ziele.
Noce są srebrne i suche. I było ich tak wiele.

Tak. Czasem chodzę po lesie i deptę muchomory.
I gdzież jest sens w tem wszystkim? A może las jest chory?

I tylko jeden ptak krzyczy. Ten ptak okropnie mnie złości.
Może tak krzyczy ze strachu? A może krzyczy z miłości?

Otrząsam z warg twoje imię i kłócę się z głupim ptakiem.
Ramiona mam barwy miodu i pachnę tatarakiem.

Ż N I W A

Ręce — bolące sęki. Ramiona aż trzeszczą.
Pokłute dłonie pieką. Na rzęsach kurz cięży.
Kłosa parzą, jak ogień, i sucho szeleszczą,
spływając wdół po sierpie strugą sypkich węży.

Słońce jest jak miód lepkie, i zboże jest z miodu.
Drażymy złote pole żądłem sierpów ostrych.
Obłok na niebie pachnie rozkoszą ogrodu,
kłują spieczone stopy pobielale osty.

Pierś kołysze sprężyste jędrny ciężar snopa,
wznoszonego z triumfem oburącz do góry.
Rzuca nam cień przelotny rozłożysta kopa,
i znów wbijamy w złoto stalowe pazury.

Wznosimy pełne garści, jak skrzydła do lotu,
rozwinęte szelestnie do nagłej ucieczki,
i osusza nam wargi słonawe od potu
wiatr gorący i słodki od zapachu hreczki.



KAROL PORAJ KOŹMIŃSKI

ZWYCZAJNE DZIEJE

- Jeszcze jedną wodę sodową?
- Dziękuję panu; nie.
- Może pomarańczę?
- Dziękuję, już mam.
- Dobranoc panu!
- Dobranoc, panie Wosik...

Z lekceważeniem minął pociąg pusty, słabo oświetlony dworzec podmiejski. Dworzec ten mogli zresztą obserwować tylko pasażerowie zwykłych wagonów. Uprzywilejowany wagon błękitny już śpi, na nic nie zwraca uwagi. Obudzi się dopiero rankiem, na pół godziny przed przybyciem na miejsce. Teraz z hukiem pociąg wpada na most. Codzienny huk tego pociągu na moście przed północą nieraz słyszy Jerzy w swym małym domku pod dachem z czerwonej dachówki.

Gdy Jerzy nie wyjeżdża, gdy wieczór jest tak piękny, że spać się nie chce... Jerzy i Ira siedzą po swym pracowitym dniu na tarasie od strony ogrodu i słuchają szumu wielkiego miasta i huku przelatujących pociągów. I zawsze przed północą słyszą najprzód miarowy, jednostajny głos dzwonka sygnałowego, lejący się w pustkę powietrza, a potem zdyszany bieg kurjerskiego pociągu i huk echa jego kół na żelaznym moście.

- To nasz pociąg!
- Tak, ale dziś nim Irzyk nie jedzie.
- Tak! dziś Irzyk jest u swej mamusi...

Biały domek, opleciony od ulicy pachnącem winem. Przed nim wąski gazon strzyżonej murawy i rabaty z niezapominajek i tymotki. Żwirowana ścieżka do ganku. Wieczorem, ledwie skrzypną drzwi, słychać na dół po schodkach szybkie, ciche kroki. Na schodach byłoby ciemno, gdyby nie to, że otwarto drzwi do kuchenki, skąd w ciemną sień kładzie się złota plama światła. A tam na płomieniu gazowym gniewa się i parska parą imbryk z wodą na herbatę.

Teraz, latem, posiłek wieczorny jada się na tarasie. Pod płóciennym dachem stoi stół, nakryty kolorowym obrusem, obok stołu—trzciniowe fotele, na nich barwne, przeróżne poduszki. Na stole pali się lampa, otoczona rojem przez ćmy, usiłujące opalić w niej swoje skrzydełka. Talerze i nakrycia, płomienne kwiaty nasturcji.

Tu, przy tym stole, jak teraz latem, siedzi się długą chwilę; tu odpoczywa się leniwie; tu pije się herbatę, czyta wieczorne gazety. Stąd—nieraz z żalem idzie się spać. Potem—krótka noc letnia, ranek, znów dzień—śpieszny dzień pracy,

Jerzy przeciąga się głęboko. Spać. Trzeba iść spać. A więc zrzuca z siebie ubranie podróżne i białiznę, myje się z pewnym trudem w umywalni, którą pęd pociągu rzuca w całkiem nieoczekiwanych momentach, w ciągłej ciasnocie wąskiego przedziału naciąga podróżną pyjamę i kładzie się pod koc. Sąsiad na górze w ciemnościach śpi oddawna. Jerzy zapala nad głową małą lampkę nocną i, zanim zaśnie, będzie jeszcze czytał. Książka, którą kupił na dworcu, jest to tanie wydanie dzieł Szekspira: „Hamlet.“ Już się zapomniało zupełnie, że się jest w wieku XX, że się jest kurjerem ministerjalnym, że jedzie się ciemną nocą pędzącym co sił pociągiem. Niemal, jak u siebie w domu, leży się na wąskim i trochę twardym wygodnym łóżku, na śnieżnej, choć trochę szorstkiej pościeli i czyta się o losach „Hamleta, królewicza duńskiego“.

Niewiadomo, jak i kiedy jesteśmy już w akcie III-im. Jakby same obracają się kartki, a teraz... „Król powstaje: — Światła, wychodźmy!“ I wychodzą wszyscy, prócz Hamleta i Horacego, a my przestaliśmy czytać, zasłuchani w słowa Hamleta:

„Niech ryczy z bólu ranny łos,
Zwierz zdrów przebiega knieje;
Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś —
To są zwyczajne dzieje...“

Ręka z książką opada na kołdrę. Jerzy przestał czytać. Przez czarną, bezwzględną noc, jak przykuty do stalowych szyn, pędzi w otchłań przestrzeni ten rząd sprzężonych ze sobą, długich, wąskich, stalowych trumien. Zawartość tych trumien śpi. Chrapie, kiwa się, kołysze, może gada przez sen, ale śpi. To wszystko wlecze za sobą kocioł parowy, o dwóch trumienach, oślepiających wszystko na kilometr przed sobą, latarniach. Szalony ten bieg, obliczony w teorii przez cały zastęp ludzi, teraz w pustce tej czarnej nocy reguluje jeden człowiek. Ten właśnie człowiek „nie śpi, aby spać mógł ktoś.“

„To są zwyczajne dzieje“...

Wściekłe, raptowne zahamowanie tego rozpedzonego, rozkołysanego ruchu na jakiejś niewielkiej stacji. Stłumione głosy na peronie, sapanie maszyny, odgłos wyrzucanych strumieni gorącej pary. Zresztą—cisza; z przyległego przedziału słychać chrzęst sprężyn materaca: to ktoś się z boku na bok przewrócił. Zbudzony tem, że pociąg stanął, ten ktoś westchnął, ziewnął, a teraz znowu pewnie zasypia.

Poszedł już do swej izby, po przejściu ostatniego pociągu, zaspany, zły i gniewny urzędnik ruchu na tej stacyjce, gdzie zatrzymaliśmy się przez chwilę. Poszedł spać stróż kolejowy; śpią już znowu na swych miejscach konduktorzy, prowadzący pociąg, i w którymś z pustych przedziałów wyciągnął się na kanapie pan Wosik w brązowym ze złotymi guzami mundurze. Pociąg już dawno wyskoczył poza obręb stacji i teraz rwie naprzód, jak koń z kopyta. Kołyszą się tylko z boku na bok na zakrętach wagony. Szybkość rośnie.

I biały domek śpi. Przejechał w tej chwili obok niego, krok za krokiem i noga za nogą, cichy, uważny, a czujny, łyskający srebrem guzików i pochwami pałaszy, patrol nocny policji konnej. Chrzęści po źwirze ulicy dźwięczne stąpanie podkutych kopyt, skrzypią cichu ko — ryszczunek i siodła. Pochwa pałasza dotknie ostrogi. Strzemię — strzemia. Parsknie koń. I ten mały oddział straży bezpieczeństwa, który się nagle z mroków w świetle latarni ulicznej wyłonił, znów w mrok zapadnie. Może spokojnie spać biały domek. Zresztą — drzwi wejściowe dobrze na noc zamknięte, klucz przekreślony w zamku i zasunięty łańcuch. Na dole i na schodach ciemno, zamknięte drzwi na ogród. I zamknięta od wewnątrz ogrodowa furka. Świeci się tylko błękitna lampa nocna w sypialni. Ale i tam cisza. Na swoim łóżku, choć puste łóżko obok, śpi spokojnie Ira. Spadła na podłogę niedoczytana książka, oczy zasłonięte dłonią, włosy rozrzucone na poduszce ciemną falą. Jutro Ira przez cały dzień będzie sama. Zbudzi się później, niż zwykle, pojedzie do miasta, ale już od południa liczyć będzie do wieczora — długie, niecierpliwe godziny; wieczorem postara się jaknajprędzej zasnąć. A rankiem wyskoczy z łóżka i rozspiewa się na cały dom. Ledwie nadąży służąca: bo to i kąpiel trzeba szykować, i śniadanie, i pędzić co tchu do miasta. Nic nie idzie dość prędko. Więc wszystko robi Ira sama. Sama chce szorować wannę, sama szykuje śniadanie i co chwila od płomienia gazu pędzi do okna na ulicę i wygląda, czy po drewnianej kładce (niema tu jeszcze wszędzie chodników) nie idzie Jerzy. Ileż razy biegła już dziś rano do okna — napróżno! ileż razy słyszała na kładce czyjeś kroki! Wszystkie — nie te, nie „jego“ kroki.. A tu już kąpiel za chwilę będzie gotowa. Ira znów pędzi do okna. Pusto... Słońce już tak wysoko... Już przeszli z pobliskich koszar w twierdzy wszyscy ordynansi wszystkich oficerów; teraz już oficerowie zaczynają iść ku miastu; już — po wyższych stopniem — pędzą w kurzu ulicy automobile. Ręce Iry zaczynają drżeć nerwowo. Patrzy na zegarek. Już ósma...

Niespokojna — staje przez dłuższą chwilę przy oknie na ulicę. Tam, za załomem muru jest przystanek tramwajowy. Co sześć minut stamtąd ukazuje się mała grupa przybywających z miasta pasażerów. Większość, rankiem — to robotnicy budowlani. Znow idą.

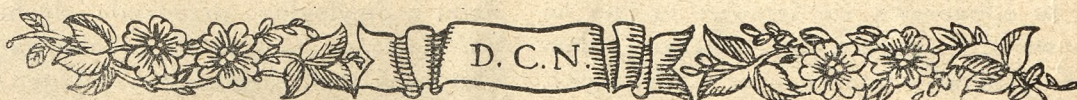
I jakże mocno bije serce... Tym razem wśród nich ktoś w szarem ubraniu. Czy tylko on? Jeszcze chwila. Ależ tak! te same szybkie kroki, płaszcz przewieszony na rękę, mały skórzany nesoser, widna zdaleka płachta kupionej przed chwilą świeżej gazety. Już widzi oczy, usta... on śmieje się, macha ku niej ręką i przyspiesza kroku. Ledwie zdąży zbiec po schodach, otworzyć zamek i zatrząsk, ściągnąć łańcuch! już czuje na policzku ostry, niegolony jeszcze dziś podbródek, ten bolesny, najbardziej upragniony, z zamierającym sercem oczekiwany pocałunek. Trzymając się za ręce, jak dzieci, biegną po schodach, na górę, A potem kąpiel, śniadanie, i tego dnia — Jerzy nie ma biura!

Ira jest szczęśliwa i spokojna znów do następnego wtorku. Porządkuje w domu, dogląda obiadu, pracuje w małym ogródku i czeka godziny, kiedy z zajęcia, z miasta, na późny obiad przyjeżdża Jerzy. Potem — albo zostają razem, albo razem jadą gdzieś do teatru, kina lub kawiarni i wracają późno w noc. Tak szybko pędzą dni. Już i najmilszy — sobotni — już niedziela. Wieczorem smutno się robi: pojutrze wtorek. W dniu tym Ira jest jakby senna i nieswoja, kapryśna i osowiała. Jerzy wcześniej przyjeżdża z miasta, z apetytem je obiad (ona nic jeść nie może), przebiera się w podróżne ubranie i śpieszy się. Śpieszy się, szybkimi krokami biegnąc po pokoju.

A Ira trzęsącymi się rękami pakuje żółty, skórzany nesoser i, jak przez mgłę, widzi każdy przedmiot: grzebień i szczotkę, szczoteczkę do zębów, przeciera lusterko (ono się tylko tobie, Iro, wydaje matowe), składa w „kosteczkę“, jak ją tego Jerzy nauczył, pyjamę, chusteczkę do nosa, ręcznik: już prawie wszystko gotowe. Przed zatrzaśnięciem zameczka Ira kładzie jeszcze do środka tabliczkę czekolady...

Jerzy już woła. Płaszcz szary, podróżny, już na ramionach. Gorący, śpieszny pocałunek: — „Irzyk, pamiętaj! Siadaj do środkowego wagonu, Irzyk, uważaj!...“

Jakby trochę zniecierpliwionym ruchem Jerzy odrywa od szyi jej ramiona. I za drzwi. A Ira prędyutko: cup, cup, cup na górę i już przy okienku na ulicę. Przez to okienko patrzą długo czyjeś mokre oczy, choć na ulicy, na kładce drewnianej i pod murem niema już dawno nikogo...



M. MOROZOWICZ-SZCZEPKOWSKA

3)

WILLA POD MIASTEM

(n o w e l a)

Dzień ten stał się decydującą datą w jego życiu.

Wypchaną wronę zawiesił na ścianie, zająca byłby chętnie zabalsamował—skończyło się jednak na spożyciu gę, po uprzednim triumfalnym obniesieniu po wszystkich sąsiadach, oraz rozesłaniu depesz informacyjnych do bliższych przyjaciół i krewnych.

Jesienią obudziły się potrzeby rozrodcze Rexa.

Tęsknił za nieśmiertelnieniem swego rodu w sposób, nieznoszący zwłoki.

Zaferowany pan starał się o rasowe gryfonice.

I oto zaczęły zjeżdżać do spokojnej „Sonaty” nieświadome, że służą celom nieśmiertelności, bydłatka.

Pani wyjechała do miasta; gdy wróciła, Rex, wyćnięczony, stale leżał i pił wodę, popiskując zcicha, prawdopodobnie na wspomnienie przeżytych niedawno wrażeń i w oczekiwaniu nowych.

Piesek myślał, że tak już będzie zawsze, ale życie w brutalny sposób pozbawiło go złudzeń.

Wrócił zwykły tryb życia.

Spacery na smyczy, strzelanie pana, i nikt wcale nie myślał dostarczać mu nowych wrażeń.

Piesek zbuntował się i znów uciekł.

Pani skorzystała z okazji i uprosiła pana, aby psie legowisko przenieść do przedpokoju; sama zaś, jako że ciasno stało się im obojgu w sypialni (dużo przyborów myśliwskich), przeniosła się do saloniku, który odtąd stał się jej pokojem.

Pies wrócił tym razem srodze pokiereszowany.

Tylną nogę włókl prawie bezwładną, grzbiet i kark miał pogryziony, na łbie ranę.

Najwidoczniej wiejskie pieski nie lubią poprawiaczy rasy.

W parę miesięcy po wyżej wymienionych wypadkach, poczęli zjeżdżać właściciele suczek, zwożąc, jako honorarjum, szczenięta.

Przywieziono ich czworo. Pani była w serdecznej rozpaczce.

— Co ci po szczeniętach??

— Wychowam je, wytresuję i sprzedam. Dostanę tysiąc złotych za sztukę!

— Ja nie będę się zajmowała psami...

— Widzę, moja droga, że chcesz mnie wodzić za nos... miejsca mi tu na pieski nie zbraknie...

— Byle nie w domu! protestuję przeciw zakładaniu psiarni w mieszkaniu.

— Dobrze, ustępuję; dowiodę ci, że potrafię być wyrozumiałym na babskie kaprysy... Żeniąc się z tobą, nie wiedziałem, że aż tak dalece nienawidzisz zwierząt...

— Ja nie wiedziałam, że wychodzę zamąż za hodowcę psów!..

Po tej wymianie zdań nie rozmawiali ze sobą przez tydzień. Szczeniętka pochłaniały dziennie cztery litry mleka, trzy kilo kaszy i zawsze były głodne.

Fundusze, przeznaczone przez pana na wyżywienie psiej młodzieży, topniały znacznie szybciej, niż to było przewidziane. Pani kazała rozszoszczoną stale Janowej zwracać się z psimi potrzebami do pana, który irytował się stałym zapotrzebowaniem pieniędzy, upatrując w tem jakąś intrygę.

Wreszcie i to się ułożyło w łonie „Sonaty”. Pani zdawała się aprobować stan rzeczy; pieski żarły coraz to więcej i coraz to więcej chudły; pan strzelał i jeździł na polowania; pani oddała się z zaciętą pasją muzyce.

Przestała już słyszeć wstrząsające dookolną ciżbę, strzały; nie widziała szceniaków; nie dopuszczała do siebie namrotania Janowej, klątw Jana, na którego pan coraz częściej gniewał się za nieprzewietrzanie psiego kojca, za niezmiękanie słomy, za skopywanie przez psy ogródka.

Ogródek, czyli grządki, starannie pielęgnowane, należały do przeszłości. Stracił linje, napisy, nosił odciski psich łap, wydeptane i pokopane wszędzie doły.

Przestał być osiewanym, wydawać jakiś plon, stracił nawet ambicję, by go nazywano ogródkiem.

Został zdeklasowany.

Gdy pani czyniła w tej materji sceptyczne uwagi, pan odpowiadał:

— Wolę psy, niż te głupie marchewki, które nigdy nie dorastały wielkości mysiego ogona!..

Zima nadeszła mroźna i wietrzna.

Zachodnie wiatry przedmuchiwały porządnie ściany „Sonaty”. Skupiono się w dwóch pokojach.

Pan w tym czasie kupił sobie grube, boksowe, o podwójnej podeszwie, zdobne w metalowe, żółte otocza dziurek i rzemykowe sznurowadła — buty.

Były wielkie, grube, hałaśliwe; po kilkakrotnem użyciu zadarły w górę nosy. Do butów tych pan miał butlę specjalnego smaru.

— Po co to? — spytała pani.

— Posmarowane buty stają się nieprzemakalne; właśnie potrzebne mi są na kaczki.

Pan, w skupieniu, raz przy razie; nasycił buty tajemniczym płynem; gdy je kompletnie nasycił, zamknął je w szafce nocnej; jednak po chwili namysłu wyjął, postawił między szafą a łóżkiem.

— Tu niech stoją! — zawyrokował, a sam, przyśiadłszy przy pani, opowiadał o swoim ostatnim triumfie w polu.

— Zając wyskoczył, stanął słupka, zamyślił się... wziąłem go na cel, buch... buch... padły jednocześnie dwa strzały, zając zrulował, podbiegam, podbiega także Iksiński... sprzeczka, czyj zając; odarliśmy go więc ze skóry, aby się przekonać, no i, oczywiście, mój zając, ale także i mój—wróg...

— Teraz już nie myślisz o dokupieniu działki, o powiększeniu ogrodu...

— Dlaczego nie myślę?..

— No, bo stale jesteś zaabsorbowany zającami...

— Mylisz się moja droga, wybieram się właśnie na grubszą zwierzynę... skąd zresztą masz pewność, że nie myślę o ogrodzie?..

— Bo mam wrażenie, że odkąd polujesz...

— Ty od pewnego czasu odnosisz sama złe wrażenia...

— Chyba nie moja w tem wina...

— Aha, rozumiem, więc moja wina...

Rozmowa się urwała, każde z małżonków gromadziło w sercu urazy. Pani irytowała się, że mąż całkiem nieoczekiwanie objawił skłonności, będące dla niej przykrą niespodzianką, — pan oburzał się na egoizm żony, będący pewną przeszkodą w używaniu myśliwskich rozkoszy.

— Dość tych fochów!—myślał—nie dam zrobić z siebie pantofla!..

— Zanedbałam fortepian, zaabsorbowana jego głupstwami... Straciłam biegłość, technikę zdobytą, dlaczego? dla głupiej namiętności nie widzącego mnie egoisty... Nie odgrywam więc w jego życiu roli, jaką sobie wyobrażałam...

Nazajutrz obudziła się pani z tępych bólem głowy. Gdy wyszła na rzeźkie, szczypiące policzki powietrze, ból ustał. Nieznośny ciężar, gniotący ciemność, znikł, tylko jeszcze w skroniach szmer, jakby po uporczywym, monotonnym, mdlącym biciu młoteczków.

— Życie jest przecie piękne! nie należy przywiązywać zbyt wielkiej wagi do jego drobiazgów... Dlaczego nie zostawić mężowi całkowitej swobody? ...niechże hoduje krokodyle, jeśli to mu sprawia przyjemność. Polowanie, ależ oczywiście: miła, zdrowa, gdzieś aż prapoczątku człowieka sięgająca rozrywka. Rozrywka?—morderstwo... Jakież tam morderstwo! Musimy jeść zające, bo inaczej zające zjadłyby nas.

Uśmiechnęła się do tej dobrodusznej formułki życia.

Tak, tak, niema się co uśmiechać... takie jest życie!

Duśmy, jeśli nie chcemy być zduszeni. A raczej duśmy, bo i nas duszą. Tak. Wszakże i Beneczek, który dawniej z przyjemnością słuchiwał jej muzyki, (ponoć to był powód do zakochania się), teraz krzywi się, gdy zastaje żonę przy fortepianie.

— Mogłabyś zająć się trochę domem...

Płaci pięknem za nadobne.

Trzeba być pobłażliwą, jeśli się wymaga pobłażliwości.

Z mocnym postanowieniem niekrępującego tolerowania nowych pasyj męża, pani strzepywała śnieg z obcasów, przestępując próg domu. Przy wejściu do pokoju uderzył ją, jak tępe narzędzie, nieznośny śwąd.

— Co to jest? dym... ah, to on wywołał ranny ból głowy... Usunąć ten śwąd... —Pootwierala okna.

Fale powietrza wbiegły z pośpiechem, wypełniając zimną rzeźkością każdy kącik.

W godzinę po zamknięciu okien śwąd dał się czuć z poprzednim natręctwem.

Pan, wróciwszy do domu, zawołał:—Piece świędzą, czad w mieszkaniu!..

Znow wietrzono. Po zamknięciu okien śwąd przenikliwy, mdlący przenikał nozdrza, drażnił, wywoływał mdłości.

— Zduna!

Pojechał Jan do miasteczka. Zdun miał przybyć nazajutrz.

Państwo spali przy uchylonym oknie. Pani dostała silnej migreny. Nie palono w piecach. Zmarzli.

— Co to za rzemieślnicy w tym kraju! jak oni stawiają piec! ze też toleruje się u nas podobne niedbalstwo... wszystkiemu Rząd winien! — zgadzali się harmonijnie małżonkowie.

Przybyły z miasteczka zdun pukał, stukał, wachał, kiwał głową, przepalał w piecu, orzekł wreszcie, że kanał zatkały sadzą. Piec trzeba rozebrać. Jeśli to nie pomoże, piec w sąsiednim pokoju przestawić. Najwidoczniej, za mały przewód na oba piece.

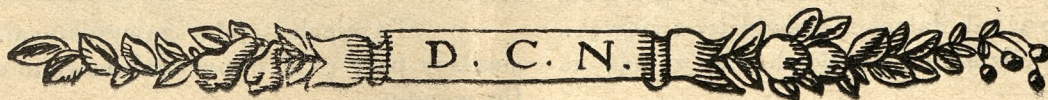
Właściwie trzeba by komin przebudować.

— Teraz, w zimie, przebudowywać komin!? znaczy, wyprowadzić się z domu. Wykluczone! Rób pan, co się da, byle nie dymiło.

Pan przez delikatność (nie należy przeszkadzać) wziął strzelbę, pięknie wysmarowane (nieprzemakalne) buty i pojechał do kniei. Pierwszy raz w życiu na dzika. Pani zaś (oczywiście) pozostała w domu, w towarzystwie zduna, który wypełnił tenże dom gruzem, kurzem, gliną, piaskiem, popiołem, błotem.

Zaciszne i ładne mieszkanko zmieniło się w pełne odstręczające niechlujstwa obozowisko.

Okazało się, że pierwszemu piecowi nic nie brakuje. Drugi był również bez błędu. Trzeba jednak (ponieważ dymią) przebudować kanały. Rozszerzyć. Bo czemużby piece dymiły???





STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW

POLSKIE BIARRITZ

Dziesięć lat temu nie było tu nic, prócz morza, nieba, lasu i kwitnącego złota żarnowców. Nad pustkiewiem dzwoniły skowronki, a po urwistym brzegu przechadzał się artysta - malarz, Włodzimierz Nałęcz, i stukając długim, apostołskim kosturem w ziemię, mówił do siebie:

— Tu będzie polskie Biarritz!

Co powiedziawszy, kupił (wówczas jeszcze za grosze) kawałek ziemi pod Rozewiem, nad prześlicznym, zalesionym jarem, spływającym, jak rzeka zieleni, ku plaży, i z desek zbudował sobie pracownię. Dziś jar ten nazywa się „jarem Nałęcza“, a w pobliżu sadyby artysty zatknięte w ziemię kołki oznaczają kierunek przyszłego wielkiego bulwaru, który pójdzie od latarni morskiej do Jastrzębiej Góry.

Nałęcz ubolewa nad tym bliskim już najazdem cywilizacji.

— Oby tylko nie zrobili tu takiego tłoku, jak na Helu!

Narazie niema o to obawy. Dużo jeszcze kamieni naniesie morska fala do wylotu „jaru Nałęcza“, zanim ten śliczny zakątek zmieni się w to, czem być powinien: w polskie Biarritz.

A ma wszystkie potemu warunki. Cudowna, kilkunastokilometrowa plaża, ciągnąca się bez przerwy od Karwi do Rozewia, silna fala pełnego morza, rozległy horyzont wodny, góry lesiste, rozłogi, zarosłe bujnym żarnowcem, tą kosodrzewiną polskiego wybrzeża, który w porze kwitnienia zalewa złotem kwieciami i miodnym aromatem całą okolicę; wreszcie, i to może najważniejsze, powietrze tak czyste, krzepkie, jędrne,

że już od pierwszego oddechu krew szybciej krąży w żyłach, a oko bystrzej na świat spogląda.

Wadą Jastrzębiej Góry są silne wiatry i stosunkowo niska temperatura. Dokucza ona szczególnie w domach, nieosłoniętych dobrotliwymi skrzydłami lasu i wogóle zbudowanych nieco za przewiewnie, jak na klimat tutejszy. Stąd wskazaniem jest tu zabieranie ze sobą ciepłych rzeczy. Jesienne kostjумы i płaszcze, swetry i pledy oddają nieocenione usługi, jak również obuwie na płaskim obcasie, niezastąpione podczas długich przechadzek na plaży i po lesie.

Na chłód tutejszy istnieje jeszcze jeden niezawodny środek: kąpiel w morzu. Parominutowa walka z falami, albo proste nadstawienie pleców bijącym w nie bałwanom, wystarcza, aby w ciągu całego dnia było człowiekowi gorąco.

Wogóle Jastrzębia Góra jest miejscowością, w której cudownie można się hartować i odpoczywać. Zapomina się tu nie tylko o t. zw. dobrodziejstwach cywilizacji, ale i o jej nadużyciach. Ranek na plaży, na idealnie czystym, śnieżnym piasku. Ryk morza i szum lasu zlewa się w jedną melodię, o dwóch przeplatających się motywach. Czasem na granicy białego piasku i szafirowego morza przefrunie czarno-biała mewa kostjumu kąpielowego, pomarańczowy balon płaszcza, czerwony mak beretu, pstry motyl pyjamy i raptem wsiąknie w biel piasku, w zielen lasu, w ciemny malachit morza, w błady błękit nieba, albo nieruchomo przylgnie do gładkiej tafli, jak barwny kamyczek, winkrustowany w niedokończoną mozaikę. Po obiedzie znów plaża, albo spacer. Jastrzębia

Góra ma park na wzgórzach między wybrzeżem, a częścią społeczno-użytkową, przyszłym rynkiem przyszłego Biarritz polskiego, gdzie dziś mieści się urząd pocztowo-telegraficzny (rozmowy telefoniczne ze wszystkimi miejscowościami Rzeczypospolitej), kaplica na werandzie w t. zw. „księżówce“ i ucieczka wszystkich przemoczonych i rozwianych główek: fryzjer.

Bez przesady można powiedzieć, że jest to pierwszy pionier nowoczesnej cywilizacji. Zjawia się jednocześnie z autem, nieraz na wiele lat przed szosą, koleją żelazną, elektrycznością. W braku maszyny, suszy główki pięknych pań na słońcu, rurki grzeje na spirytusie, a czego nie dorobi, to dopowie. Wiadomą jest powszechnie rzeczą, że fryzjer zastępuje modniś gazetę: układając wdzięczne fale na kształtnej główce, mebluje ją jednocześnie wiadomościami. Iluż to ciekawych rzeczy dowiedziała się piękna pani od swego fryzjera! On z nią prowadzi dyskusje literackie na temat ostatnich sensacyjnych powieści. Niewątpliwie pewna kategoria naszych powieściopisarzy zawdzięcza swe powodzenie i sławę pochlebniemu zdaniu fryzjerów. Ci ludzie, śladem nieśmiertelnego Figara, narzucają swym klientom pewien „fryzjerski“ sposób myślenia, trwalszy, niż moda uczesań; tworzą opinię, pod którą, jak pod kloszem, duszą się ptasie mózdzki w zapachu shampoonu i swędzie własnych przypalonych loczków.

Ach! gdybyż można zapomnieć o nich tu, w krainie swobody! Niestety! „wiatr od morza“ zaczęło nam o ich istnieniu przypomina. Nawet krótka fryzura chłopięca zmienia się tu po półgodzinnym obcowaniu z morzem i powietrzem w nastroszoną kopę siana. Trzeba się ratować siateczką, chusteczką, francuskim czy baskijskim beretem, bo przecież niepodobna dla miłości morza zgolić głowy? choć, kto wie, czy i taka moda nie nastanie! Będzie ona w każdym razie dowodem odwagi kobiecej, idącej jaknajdalej w kierunku obnażania się.

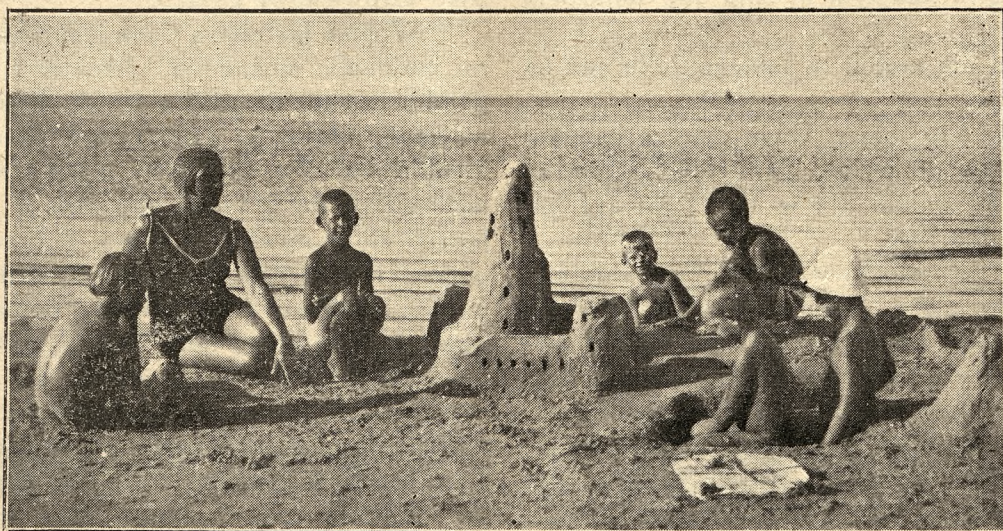
Po tej dygresji „ondulacyjno-morskiej“ wróćmy do spacerów Jastrzębiogórskich. Więc naprzód—kla-

syczna promenada „od pompy“ do „Fantazji“, zarośniętym grzbietem urwiska, z widokiem na morze. Stąd patrzy się na zachód słońca i wróży się pogodę na dzień następny; tu również, kiedy nad odmętym morskim zgaśnie późna zorza wieczorna, miło jest łowić okiem olśniewające białością błyski latarni morskiej w pobliskim Rozewiu.

Dwugodzinny spacer do Rozewia naprzelaj przez pola złotych żarnowców, spacer, połączony ze zwiedzaniem latarni morskiej i z odwiedzinami Nałęcz w jego pustelni—należy do obowiązkowych wycieczek dla „początkujących“ piechurów, coś w rodzaju podwieczorku w Kuźnicach zakopiańskich. Prawdopodobnie kiedyś stanie tu wielka kawiarnia z tarasem, na którym mniej lub więcej szczęśliwa orkiestra będzie się siliła zagłuszyć huk fal, rozbijających się o wielkie kamienie, przyniesione tu jeszcze chyba przez lodowiec skandynawski. Tymczasem można tu, albo w pobliskich Tupadłach, dostać mleka i chleba. Sielanka! Nałęcz stołuje się u latarnika. To pachnie już Sienkiewiczem. Pomyslcie tylko; jeść smażoną flondrę u strażnika najsilniejszej latarni na Bałtyku! Czy ta świadomość nie może napełnić człowieka łatwo zrozumiałą dumą, nawet wtedy, gdy się nie jest polskim marynistą, ale przeciętnym morskim „cepem“, który w morze nigdy nie wchodzi powyżej pięt, a dla żaglówek rybackich żywi głęboki respekt, połączony z tajoną zgrozą?

A propos żaglówek: w Jastrzębiej Górze odczuwa się brak łodzi spacerowych, a nawet poprostu rybackich. Wynika to stąd, że Jastrzębia Góra jest miejscowością nawskość letniczą. Niegdyś istniała tu podobno osada „Pilice“, od której wziął nazwę największy tutejszy pensjonat, szpecący zresztą krajobraz koszarową halą jadalną. Zresztą „polskie Biarritz“ zabudowuje się całkiem znośnie.

Białe wille pod spadzistemi dachami, zakrojone zlekka na ład staropolski, parę domów drewnianych w stylu kaszubskim—doskonale harmonizują z charakterem krajobrazu. Za wszelką cenę unikać tu należy zakopiańszczyzny, której niefortunne próby na tu-



tejszym terenie wyglądają sztucznie i pretensjonalnie.

Ruch budowlany ożywia się stopniowo. Daleko mu jednak jeszcze do gorączki. Wybuchnie ona dopiero wtedy, gdy nastanie konieczność odciążenia przepełnionej i w gruncie rzeczy zgoła niehigienicznej Gdyni, Orłowa, Helu i t. d. Wówczas gwałtownie podskoczą ceny działek, obecnie już przekraczających sumę kilku tysięcy, i nabywcy będą się przelicytować w kupnie placów „z widokiem na morze”.

Tu, drobne przypomnienie braci literackiej. Spółka właścicieli Jastgoru z prezesem Osmałowskim na czele, ofiarowała jedną działkę w darze Towarzystwu Literatów i Dziennikarzy, pod warunkiem, że Towarzystwo w ciągu dwu lat zacznie się na tym placu budować. Czas mija, a o budowie coś nie słyhać. Wartoby wznieść choćby mały domek systemem amerykańskim z t. zw. dychty.

Amatorów na pobyt letni napewno znajdzie się choć kilku.

Wobec istnienia paru zupełnie dobrze prowadzonych pensjonatów, odpadają kłopoty prowadzenia się na własną rękę. Miejsce do pracy i odpoczynku idealne. Kto wie, czy ten sam „wiatr od morza”, który przygina czuby karłowatych sosen i czesze szorstkie grzywy traw na diunach piaszczystych, nie nada właściwego pionu silnym indywidualnościom twórczym naszej młodej Polski? Może za parę miesięcy powie nam coś o tem nowa książka pani Marji Kuncewiczowej, która tu ma zamiar spędzić lato.

A tymczasem, drodzy koledzy, nie zasypiajmy gruszek w popiele. Ani się opatrzymy, jak plac nam sprzątną z przed nosa!

A potem będzie wstyd, że nas niema w polskim Biarritz.

GINA LOMBROSO

3)

DUSZA KOBIETY

KSIEGA I.

ALTEROCENTRYZM I TRAGICZNE POŁOŻENIE KOBIETY

Kobiecie brak kręgosłupa, jakim egocentryzm obdarzył mężczyznę; dlatego potrzebuje ona mężczyzny, potrzebuje punktu stałego, który nie ma jej skłonności do ciągłych zmian i kołysań; który nie wydałby jej na łup wszystkich prądów i wiatrów, co rozpraszają jej siły; potrzebuje mocy, zdolnej ześrodkować jej zapał i pchnąć w pożądanym kierunku.

Mówi się, że to pragnienie podpory jest wynikiem niższej inteligencji, wadliwego wychowania. Nic ono nie zmniejsza się z poprawą wychowania, a wzrasta ze wzrostem inteligencji, z przybywaniem pojęć, które rzucają ją w wir wrażeń, niezrozumiałych dla niej spostrzeżeń, tak że nie umie się co do nich połapać, nie wie, jak się wobec nich zachować. Albowiem inteligencja kobiety nie zasadza się na rozumowaniu, lecz na intuicji; intuicja zaś, gdy znajdzie się niespodziewanie w obliczu jakiegoś wniosku, z pominięciem szczebli, które do niego prowadzą, maści się, a bardziej jeszcze traci grunt, co do praktycznych skutków, jakie z owych wniosków należałoby wyciągnąć. Zatem kobieta, im inteligentniejsza, tem wyraźniej czuje potrzebę oparcia się o inteligencję odmienną od niej, któraby ją dopełniła, oświeciła, pozwoliła wyzyskać własną intuicję. W przeciwnym razie, jak świetne kwiaty cieplarniane, pozbawione słupków i pręcików i mrące w chwili, gdy opadną płatki, — wytwory jej umysłu spopieleją na tem samym miejscu, gdzie wyrosły, niezdolne wydać nawet skromnych owoców, choćby takich tylko, jakie daje kwiecie polne.

Potrzeby tej nie czuje tylko „męska” kobieta, dzięki warunkom społecznym, przyzwyczajeniu, czy szczególnym danym — uposażona męską latarnią egoizmu, prawie wygasła u kobiet, które pozostały kobietami.

* * *

Uczyniwszy ośrodkiem *uczucia*, zatem *zadowolenia*, miłość innych istot żywych, poza sobą, *kobieta nie jest w stanie osiągnąć sama, bezpośrednio, własnymi siłami i rozumem — przedmiotu swego uczucia*. Przez tę swoją fatalną miłość dla innych — fatalnie zależy od innych.

Mężczyzna wytrwałością, pracą — może dojść wprost do bogactwa, szacunku, stanowiska, zadowolenia zmysłów, za którem gonił, ideałów sztuki, polityki, jakie wymarzył; kobieta nie ma stałego, dotykającego środka, któryby ją prowadził. Miłość innych zależy od kaprysu losów, od urodzenia się, jako pierwsza, lub ostatnia, w tych czy innych okolicznościach; od stopnia wylewności uczuć, większej lub mniejszej urody, zalet, mniej lub silniej pociągających, chwili spotkania człowieka, który ją zrozumie. Jej los leży w rękach przypadku. Nie może wolać, czynami, zasługą, czy pracą, zdobyć bezpośrednio uczuć otoczenia, gdy ono ich nie podziela: miłości się nie kupuje, miłość jest bezinteresowna, ale ta jej kapryśność jakąż jest tragedją dla kobiety, dla której miłość jest treścią życia!

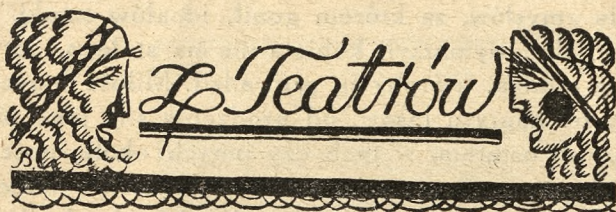
Lecz tragedia jej na tem się nie kończy. Ponieważ istoty, które uczyniła centrem swego życia, są z konieczności różne od niej i innym rządzą się inte-

resem, zachodzi tragiczna niemożność uzgodnienia ich interesów z jej uczuciami.

Co znaczą owe *interesy* danej osoby? Wszystko, co może wzmocnić zasoby jej materialne, czy moralne: zdrowie, życie, majątek, sławę, zaszczyty, jednym słowem to, za czem człowiek najzacieklej goni i w czem naogół znajduje najżywsze zadowolenie. Rozkosze podniebienia, na które tak jest wrażliwy, wiąże się ze sprawami podtrzymania zdrowia; rozkosze, jakie daje bogactwo, zaszczyty, sława—łączą się z poczuciem wzmoczenia sił. Ale wszystkie one nie wystarczają, by dać szczęście kobiecie. Jej pragnienia skupiają się gdzieś indziej.

Ona nie widzi żadnego *interesu* w tem, aby mieć dzieci, przy których trzeba czuwać nocami, gryźć się materialnie i moralnie całe życie, bo przecież dzieci nie pomnażają jej zdrowia, sławy, zaszczytów. Nie ma interesu, by opuszczać dom rodzicielski, którego często jest bóstwem i królową, rzucać dostatek, bogactwa, swobodę, nieraz blask, sławę, stanowisko społeczne—i iść za człowiekiem, który nieraz nic jej nie da z tego, czego się wyrzekła. Nie ma interesu, gdy stara się pomóc w cierpieniach, ulżyć w niedoli. Nie ma interesu, kiedy stroi mieszkanie w kwiaty, wprowadza do niego psy, ptaki, żywe stworzenia, koło których chodzi i krząta się cały dzień, co przecież jej osobistych dóbr nie pomnaża. Nie ma żadnego interesu, gdy żeni i wydaje zamąż dzieci, skazując się na samotność, kiedy najbardziej potrzebowałyby ich uczucia. Z osobistego punktu widzenia jest nonsensem, że Ewa, w chwili urodzenia Kaina, rzuca się do nóg Pana, wołając: „*Bóg mi wybaczył, dał mi syna, o którego mogę się troskać!*”, bo naprawdę syn ten przysporzy jej moc trudów moralnych i materialnych i żądać będzie poświęceń, nie dając radości. A jednak ten jej okrzyk, to głos zaspokojonego instynktu, spełnienia mętnych pragnień jej duszy, w odcięciu od macierzyństwa faktycznie niedorzecznych, w których ukojeniu kobieta znajduje najżywszą przyjemność.

(d. c. n.)



TEATR NARODOWY

„Szczęście Frania”—komedia w trzech aktach Włodzimierza Perzyńskiego. Reżyserja Aleksandra Zelwerowicza

„Szalona Julka” Kisielewskiego miała wiele naśladowczyń w epoce „walki z filisterstwem”. W ostatnim ćwierćwieczu przed wojną światową była taka szarpiąca się rewolucjonistka w co drugim burżuazyjnym domu, i z córkami miało się w latach „fin de si-

cle'u”, a także na początku stulecia, zanim przyszedł wszystko odmieniający czas wojny — niemały kłopot.

W tej walce młodych dziewcząt ze środowiskiem, w którym żyły, było często sporo literackiego snobizmu, więc też niejednokrotnie rewolucjonizm przybierał formy pospolitego rozkapryszania, a bunt był raczej bezmyślnością samiczek w porze budzącego się erotyzmu. W rezultacie wynikał z tego dla solidnych, Bogu ducha winnych „familij” — skandal, który trzeba było tuszować metodami mniej lub więcej wypróbowanymi.

Perzyński w „Szczęściu Frania” jakby sparodjował Kisielewskiego, ale w istocie podpatrzył tylko wyćinek burżuazyjnego życia, ledwie hamując swoją niechęć do tępoty i egoizmu, do tego istotnego filisterstwa, które stroi się w „potrzeby kulturalne”. Więc: artystyzująca córka, która niewiadomo czem przeciwstawia się swojemu milieu; malarz, typowy ówczesny uwodziciel; zamożność rodziców, którzy godzą się na coraz nowe fantazje córki, byle im nikt nie mógł zarzucić braku zrozumienia dla sztuki. A w sumie składa się z tego gnuśne sobkostwo i projekty jakiejś odpowiedniej kariery małżeńskiej dla jedynaczki. Tymczasem jedynaczka jest młoda, głupią imitatorką entuzjazmu, która robi na złość nieufnej matce. Tak właśnie wyraża się ta niby walka Heli z przesądami i krępującą swobodą.

Lecz komedia Perzyńskiego nie miała zamiarów problemowych, nie rozstrzygała ważności zagadnienia, mając jedynie na celu stworzenie tła obyczajowego dla głównej postaci sztuki — dla Frania.

Wszystko, co się dzieje w komedji Perzyńskiego, jest więc tylko uzasadnieniem smutnej doli Frania, naznaczonego niepozornością, ubóstwem i — szlachetnością. Zespolenie zalet charakteru z małowartością zewnętrzną nie byłoby jeszcze dramatem, gdyby Franio nie miał śmiesznej ambicji, dyktowanej pragnieniem szczęścia. Prostu, Franio kocha córkę właściciela domu i miłość czyni go odważnym aż do zuchwalstwa, wywyższa go aż do miary normalnego konkurenta, choć w tym domu miał od lat ustalone stanowisko wyzyskiwanego popychadła.

Nikt na widowni, nawet w dzisiejszych hyperdemokratycznych czasach, nie dziwi się, że Franiowi dano rekuzę. Dobry, poczciwy chłopiec niewątpliwie ośmieszył się uczuciem dla panny Heli i napewno mierzył za wysoko. Trochę nam wprawdzie żal, że mu „złamano serce”, i myślimy taktownie, że, bądź co bądź państwo Lipowscy zbyt brutalnie podkreślili swój dystans towarzyski. Ale trudno—takie jest już to życie, podzielone na kasty, a Franio, jako „sudra” od urodzenia, powinien był to zrozumieć. Nie rozumiał — tem gorzej dla niego. Był nieszczęśliwy, bity niepowodzeniami, biedny, głodny, i dlatego trzeba było jeszcze o parę szczebli zejść niżej, przyjąć ponownie łaskę tych, którzy go wydrwili i, co więcej, trzeba było ich



„Prawdziwa miłość” w teatrze Małym—Malicka i Węgierko

kochać, bo tak właśnie chciało, tak musiało jego dobre, nikomu krzywd niepamiętające serce.

Ale drwiący grymas losu wykrzywił się brzydką złościwością, aby spełnić niedościgłe marzenia Frania. „Dla każdego przyjść musi chwila szczęścia” — przyszła więc i dla Frania, gdy skandal, jak grom, uderzył w rodzinę Lipowskich. A dobry Franio wziął to „szczęście” z płaczem, bo takim, jak on, przypadają w udziale dopiero — okruchy z pańskiego stołu.

Frانيا grał Jaracz. Syntetycznym ujęciem drobnych, napozór, szczegółów mimiki stworzył on tę jedną z najlepszych swoich kreacji. Reszta zespołu nie mogła, oczywiście, stanąć na tym samym poziomie i ledwie zadowalniająco wtórowała mistrzowskiej grze Jaracza.

TEATR MAŁY

„Prawdziwa miłość”—komedia w trzech aktach Roberta Bracco. Reżyserja Aleksandra Węgierki. Dekoracje Karola Frycza.

Nikt nie wątpi, że Hugon kocha Helenę, ale Robert Bracco chce nam udowodnić, że prawdziwa miłość pieczętuje się dopiero na metryce ślubnej. Ponadto twierdzi Bracco, że prawdziwa miłość wybacza, a za to czeka ją nagroda — symboliczny wianek mirtowy, czy z kwiatu pomarańczy.

Niestety! nawet świetna gra Malickiej i Węgierki, nawet piękne dekoracje Frycza—nie zdołały odrestaurować zdziecinniałej starzyzny. Zwłaszcza ostatni akt zawstydział nieudolnością i gniewał frazeologią duetu miłosnego.

Kilka miłych, dobrych do zagrania scen i odrobina humoru przeplotły się wianuszkiem (nie mirtowym!) poprzez banalność koncepcji, ale i te udane momenty były niewątpliwie zasługą aktorów, którzy potrochu sami siebie naśladowali ze „Świt, dnia i nocy”.

W niezgorszym repertuarze Roberta Bracco znalazłaby się lepsza komedia i nie trzeba było tej „Prawdziwej miłości” przystrajać w zmięty welon ślubny. Helena i Hugon mają już z pewnością dorosłe dzieci, które nudzą się na tej sztuce.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

NOWY TYP SZKOŁY NAUCZYCIELSKIEJ

Dotychczas tylko seminarja nauczycielskie wychowywały pedagogów szkolnych. Dla wychowanków szkół średnich, którzy mieliby poświęcić się pracy nauczycielskiej, droga była dotychczas niemal zamknięta, gdyż narażała ich na stratę conajmniej dwóch lat studjów, jeśli chcieli wstąpić do seminarjum.

Usunie te niedogodności nowy typ szkoły nauczycielskiej. Mianowicie z dn. 1-ym września r. b. otwarte będzie w Lublinie państw dwuletnie pedagogium dla absolwentów (ek) szkół średnich. Jest to pierwsze pedagogium w Polsce.

Przygotowywać będzie fachowe siły nauczycielskie, przede wszystkim dla szkół powszechnych. Słuchacze pedagogium, oprócz przedmiotów ściśle fachowych, jak: pedagogika, psychologia itp., będą mogli specjalizować się w jednym, przez siebie obranym, przedmiocie.

SZTUKA POLSKA NA WYSTAWIE OLIMPIJSKIEJ W AMSTERDAMIE

W związku z IX olimpiadą otwarta została w Amsterdamie Międzynarodowa Wystawa Artystyczno - Sportowa, przy wybitnym udziale polaków, szczególnie w dziale malarstwa. Świetne prace Sichulskiego, Jarockiego, Skoczylasa, Śleńdzińskiego, Noakowskie-



„Konopacka”—rysunek węglowy Wacława Piotrowskiego na Międzynarodowej Wystawie Artystyczno - Sportowej w Amsterdamie.



Zygmunt Rozwadowski: „Panny Czajkowskie konno”
Wystawa Olimpijska w Amsterdamie

go. Kossaka, Kramsztyka i innych—porywają cudzoziemców swoistą brawurą i świeżością w ujęciu tematów sportowych.

Rzeźbę reprezentuje Olga Niewska i Gruberski. W dziale poezji stanął do konkursu „Laur olimpijski” Kazimierza Wierzyńskiego, „Dyskobol” i „Janosik” Kazimierza Tetmajera.

Zwycięzcy w tych zawodach artystycznych, w których bierze udział 18 państw, będą nagrodzeni medalami olimpijskimi.

PRASA ANGIELSKA STARA SIĘ O POZYSKANIE KOBIEC— CZYTELNICZEK

W ostatnich czasach nastąpił w prasie angielskiej poważny zwrot. Dyrekcje dzienników przyszły do przekonania, że trzeba pozyskać dla pism klientelę kobiecą. Kobiety są dla prasy podwójnie korzystnymi abonentkami. Najpierw z chwilą wprowadzenia do konstytucji angielskiej prawa wyborczego kobiet, wzmogło się ogromnie czytelnictwo. Kobiety wszystkich warstw ludności interesują się obecnie daleko intensywniej zarówno polityką, jak i sprawami ekonomicznymi. Stanowiąc zaś liczbowo większość, przedstawiają bardzo poważne grono czytelnicze.

Ale kobiety są także lepszą od mężczyzn klientelą ekonomiczną. Ich siła kupna wzrosła w ostatnich czasach, ponieważ pracując zawodowo i rozporządzając własnymi, zarobionymi pieniędzmi, kupują więcej dla siebie, dla domu i wpływają niejednokrotnie na zakupy mężczyzn. Dla kobiet więc przeważnie robią kupcy ogłoszenia. Dotychczas dzienniki zwracały jedynie uwagę na wielkość ogłoszeń handlowych i ich częstotliwość; obecnie przyszły do wniosku, że trzeba zwrócić uwagę i na skutek ogłoszeń i siłę kupna czytelników. To też prasa angielska, stara się obecnie, wzorem amerykańskiej, głównie o takie ogłoszenia, które interesują kobiety, a zarazem układa i treść pism tak, aby pozyskać sobie czytelniczki.

Najpoważniejsze, wielkie dzienniki stolicy przystosowano do potrzeb kobiet, zamieszczając działy gospodarstwa domowego, wychowania, mody, informacje w różnych sprawach prawnych, politycznych i społecznych, a przede wszystkim prasa, w interesie własnym, popiera wszędzie sprawy kobiece.

N J.

KOSZTOWNA URODA AMERYKANEK

Po wielkiej wojnie europejskiej koszta pielęgnowania urody kobiecej zaczęły wzrastać gwałtownie we wszystkich krajach; nigdzie, jednak, nie dosięgły cyfr tak zawrotnych, jak, oczywiście, w Stanach Zjednoczonych!

Już dziś, według statystycznych obliczeń ministerstwa skarbu, pewnie pozycja pod nazwą „woman's beauty”, czyli „piękność kobieca” — wynosi rocznie sumę mniej więcej 2 miliardów dolarów...

Gdy w roku 1914 sprzedano w Ameryce samych tylko perfum i artykułów kosmetycznych za 16.889.100 dolarów, już w roku 1927 American Chemical Society, przy zestawieniu bilansów, wykazało sumę 145.488.000 dol.

Cyfry mówią same za siebie.

Gdy w roku 1910 było, podobno, w N. Jorku zaledwie 300 salonów piękności wraz z zakładami fryzjerskimi, obecnie w stolicy tej istnieje przeszło 3000 kalotechnik, a w całych Stanach Zjednoczonych—30.000, do których uczęszcza przynajmniej 75 proc. mieszkanki Ameryki.

Z zestawień powyższych cyfr należy uwierzyć głośnej famii, że amerykanka jest najkosztowniejszą kobietą na globie i nie liczy się wcale z groszem, gdy chodzi o zakonserwowanie, lub podniesienie swej urody.

Faktem ogólnie uznanym dziś jest twierdzenie, że wydatki kobiet we wszystkich krajach cywilizowanych wzrosły od chwili wprowadzenia fryzury chłopięcej. Skoro przedstawicielki płci pięknej wszystkich narodowości przyszły do przekonania, że młodzieńcza sylwetka odgrywa niepoślednią rolę w walce o byt, nie mówiąc już o powodzeniu, nie zaważały się podnieść najkosztowniejszych zabiegów i najzmunniejszych wysiłków—aby dopiąć swego!

Nietylko obcięły włosy, ale zaczęły je farbować, usuwać siwiznę, poddawać się niezliczonym, skomplikowanym operacjom kosmetycznym, angażując do współpracy lekarzy, chemików, wszelkiego rodzaju wytwórców artykułów kosmetycznych i pracowników.

Taki wykwalifikowany mistrz kosmetyki w Ameryce, „urabiający twarz”, zarabia od 300 do 400 dolarów tygodniowo, czyli mniej więcej od 3.000 do 4.000 złotych. Bagatelali!

Niemniej dochodową gałęzią sztuki pielęgnowania urody jest t. zw. „ondulacja trwała”, przy pomocy prądu elektrycznego. Trudno dziś spotkać „szanującą się” amerykankę, która nie posiadałaby „naturalnie” wijących się włosów. Nie mówiąc już o prawdziwych ladies z towarzystwa, każda urzędniczka, ba! ekspedjentka, bądź to na raty, bądź zmunnie ciułając po kilka dolarów każdego miesiąca—podda się wreszcie kilkogodzinnej torturze.

Czego nie zrobi kobieta, żeby być piękną?! Zabieg podobny u fryzjera kosztuje od 50—70 dolarów; wszystkie większe zakłady w okresie karnawału, czy w sezonie kąpielowym, wykazują takich operacji po 150 i wyżej—dziennie!

Gdy europejczyk przybędzie poraz pierwszy do Nowego Jorku, uderzy go ten fakt, że nie spotyka siwych kobiet, a ostatnio, i siwych, czy szpakowatych gentelmenów. Wszyscy posiadają naturalny kolor włosów. Farbowanie włosów stanowi też dość pokalną rubrykę w wydatkach kobiet amerykańskich.

Tak, wytworna, zamożna nawet Europejka (z wyjątkiem Angielek) z trudnością dziś może konkurować z sylwetką przeciętnej amerykanki, ubranej zawsze najmodniej i nie cofającej się przed żadnym wydatkiem, gdy chodzi o pielęgnowanie urody. H. S.

S P R O S T O W A N I E

W artykule „Służba Ojczyźnie” p. Zaleskiej w Nr. 30 „Bluszczu” przy wylczeniu stowarzyszeń kobiecych pominięto przez przeoczenie „Koło Polek”, o którego działalności podawaliśmy nieraz na tem miejscu obszernie sprawozdania.

JAK SIĘ ZESTARZEĆ?

II.

U człowieka starszego sprawa dobrego nastroju ducha i zajęcia wśród otoczenia stanowiska, właściwego wiekowi, a jednocześnie pozbawionego wszelkich czynników, przykrych dla siebie i drugich—zależną jest głównie od własnej duszy, od wewnętrznego „ja”.

Ta tajemnicza jaźń ludzka posiada w sobie olbrzymią potęgę i niewymierzone możliwości. Trudno nam kusić się o określenie jej istoty; często bardzo zdaje się nam, że nie możemy jej zrozumieć, ale odczuwamy ją zawsze. Otóż ona właśnie musi nam pomóc, do niej musimy uciekać się, gdy chcemy zdać sobie sprawę ze swego charakteru, postępowania, ze swego sposobu patrzenia na świat.

I ona zawsze nam pomoże.

Trzeba tylko nauczyć się dotrzeć do niej, skupić się tak i wmyśleć w siebie, aby usłyszeć jej najgłębsze słowo.

Zdarzyło się napewno każdej z nas, starszych, przypominać sobie lata młodzieńcze i dziecięce. I czy wtedy, pomimo całego poczucia różnicy warunków, otoczenia, usposobienia własnego nawet,—nie odczuliśmy jednak, że ta, tak niby strasznie daleka, inna, promienna młodością dziewczyna, więcej, że nawet ta mała, to jednakże — ja?

Doświadczenie życiowe, humor, wpływający z różnych moralnych i materialnych warunków, umysłowość, kształtowana przez wiek i wiedzę—inne;—jaźń, dusza — te same!

A jeśli to odczuwamy, jeżeli uda się nam, poprzez długi szereg lat, odnaleźć tę samą siebie,—to odnajdziemy jednocześnie młodość duchową i siłę we wszystkich, trudnych nieraz momentach, które wiek późniejszy nasuwa.

Bo dusza nasza, nasza jaźń najgłębsza, nie ma przecież grymasów, zniechęcenia, rozgoryczenia, zmęczenia i t. p., i t. p. To wszystko są rzeczy zewnętrzne, a to wszystko właśnie najwięcej w starych latach nam przeszkadza.

I najwięcej właśnie przeszkadza kobietom w ich życiu domowym i rodzinnym.

Chcąc być zadowoloną z samej siebie, pogodną i silną duchowo—a to jest podstawą wszystkiego,—musimy uprzytomnić sobie radość, odwagę i siłę naszej młodości, musimy poczuć z nią nierozdzielłą łączność.

Ta dzielna, z radosnym zapałem rozpoczynająca pracę, to ta sama ja, która dziś, po latach, czuje się nieraz zmęczona i zniechęcona. Dlaczego? Czy zmieniła się jej dusza? — Nie! Czy warunki zewnętrzne są tak inne? I to nie zawsze. Przeważnie tylko organizm cielesny, starszy i bardziej zużyty, płata nam przykre figle, otaczając wszystko mgłą nudy, znużenia i pesymizmu.

Ale jeśli to zrozumiemy, to wtedy potrafimy zaplanować nad tym nastrojem, zwłaszcza jeśli przez odpowiedni tryb życia organizm nasz zachowamy zdrowym.

Przypomnijmy sobie, jak cieszyliśmy się i przejmowały każdą rzeczą piękną i miłą w młodości, odczujmy głęboko tamten czas i tamtą radość, a przekonamy się, że nic się nie zmieniło: że czujemy tak samo, że cieszy nas słońce, kwiaty, rozrzewnia muzyka, podnosi i entuzjazmuje wszelkie piękno i każda radość, że jesteśmy te same.

A nasze drobne dolegliwości, częstsze zmęczenia, nasz inny wygląd zewnętrzny—to przecież tylko usterki naszej sukienki cielesnej. Czy dlatego, że mamy na sobie suknię trochę starszą, która przeciera się miejscami, którą tu i owdzie załatać trzeba, mamy zaraz tracić humor i siłę do życia? A ta siła duchowa, dobry, pogodny nastrój duszy, rozstrzygnie nam wszelkie dalsze zagadnienia.

Z niego przedewszystkiem czerpać będziemy siłę do zwalczania naszych rozgoryczeń, złych humorów, pesymizmu, z niego weźmiemy wyrozumiałość i zrozumienie otaczającej nas młodości; on pomoże nam machnąć pobłażliwie ręką na drobiazgi, on nie dopuści, abyśmy stały się nudne, co jest tak u kobiet starszych pospolite, a tak przez ich otoczenie nie lubiane!

Zapewne, powiedziećby można, że ta siła duchowa przez całe życie wogóle jest nam potrzebna i pomaga do zwalczania wszystkich wad charakteru i wszystkich przeciwności losu. Naturalnie, tak jest Dusza, jaźń mądra i dobra—kieruje całym życiem. Tylko, że w młodości działa ona potencjalnie sama z siebie, promieniując siłą, weselem i zapałem, podczas gdy wiek starszy przysypuje ją często popiołem różnych naleciałości, które trzeba usuwać własną pracą psychiczną. Tą pracą jest stawianie sobie przed oczy naszego młodego, pogodnego ja, odczuwanie z niem łączności i postępowanie według jego wskazań.

To jest właśnie cudowny sekret zachowania psychicznej, duchowej młodości.

Ludzi, którzy go posiadają, spotykamy i możemy stwierdzić często, że jest to rzecz zupełnie możliwa.

Kobieta, która tę młodość duszy zachowa, będzie zawsze miłą towarzyszką dla swych dorosłych dzieci, krewnych i młodych przyjaciół. Potrafi mówić z nimi o wszystkim, co ich interesuje, dodając do tego to, co zdobyła jej życiowa wiedza i doświadczenie. Jest duchowo młoda, więc nie będzie ani nudna, ani niewyrozumiała, ani rozczarowana do życia; a jest mądra doświadczeniem lat przeżytych, więc nie stanie się śmieszna.

Słyszy się obecnie często narzekania, że młodzi stronią od starszych, że chcą wciąż przebywać sami i nie dzielą ze starszymi swego czasu i rozrywek. Tymczasem rzecz ta miała się tak zawsze, i jeżeli jest teraz zmiana, to uważam, że na lepsze. To tylko konwenans był inny. Córki musiały iść na bal lub

wizytę z matkami, ale czy się tam razem bawiły? Przeciwnie: teraz daleko więcej matek, względnie młodszych, bawi się razem z córkami.

I tu również taksamo, jak w sprawach tualetowych, powinna panować szeroko stosowana swoboda.

Kobieta starsza, zdrowa, wesoła i lubiąca zabawy — niech ich używa. Lepiej, żeby nie tańczyła charlestona, ale i bez niego znajdzie napewno miłe towarzystwo, nacieszy się widokiem rozbawionej młodzieży, przypomni sobie własną młodość i nie znudzi się wcale.

Poważniejsza, z innemi zamiłowaniem, nie będzie szukała gwarnych zabaw, lecz potrafi stworzyć koło siebie, w domu, atmosferę wypoczynku i rozrywki, do której dzieci jej i młodzi przyjaciele dążyć będą chętnie, i nie pozostanie osamotniona.

Trzeba tylko do tego dołożyć trochę wysiłku, a przede wszystkim — nie pozwolić sobie zestarzeć się psychicznie i umysłowo.

Taksamo, jak mięśnie, i umysł starszy nie powinien się zaniedbywać: bo, jak młode mięśnie, nawet niećwiczone, są sprawne, taksamo i młody umysł; starszy — przeciwnie: nie powinien wychodzić z wprawy.

Liczne przykłady, potwierdzające tę teorię, mamy w życiu pisarzy i uczonych, którzy, z racji swego zawodu zmuszeni do ciągłej pracy psychicznej, zachowują rozległą kulturę, sprawność umysłu, nawet talent w tym wieku, gdy inni, nieprzyzwyczajeni do tej pracy, już nawet na przeczytanie dziennika zdobyć się nie mogą.

A właśnie kobiety starsze, zaprzątnięte troskami i obowiązkami, a niekiedy i zbyt drobiazgowo pojmanymi sprawami domowymi, bardzo często zapominają o tem ćwiczeniu swego umysłu.

Zapewne, wobec daleko szerszej i głębszej obecnie fali kultury, coraz mniej mamy takich, które po zamążpójściu często, a w starszym wieku z reguły „zarzucały“ muzykę, książki, lub jakiś amatorsko uprawiany talencik. Ale jakże często i dziś pozwalamy opanować się lenistwu! Nie chce się iść na spacer, na koncert, odczyt, przeczytać jakiejś książki. Narazie przyjemniej wydaje się zjeść ulubiony przysmaczek, lub posiedzieć, nic nie robiąc i nie myśląc. Otóż jeśli pragniemy zachować psychiczną młodość — a to trwać może o wiele dłużej od młodej twarzyczki i figury, — należy tego unikać. Należy ćwiczyć i rozwijać umysł, więcej może nawet, niż w młodości. Raz dlatego, żeby mu nie dać się zestarzeć, a po drugie dlatego, że przyjemności i rozrywki duchowe są, w miarę postępu lat, coraz cenniejsze i coraz więcej zastępować muszą inne. Przychodzi czas, w którym trzeba zrezygnować z zabaw i rozrywek materialnych, ale do najpóźniejszego wieku zachować może człowiek przytomny i choć względnie zdrowy — rozrywki i nawet rozkosze umysłowe i duchowe.

I być, mocą tego rozwoju duchowego — miłym i potrzebnym otoczeniu.

W taki sposób należy umieć się zestarzeć. N. J.

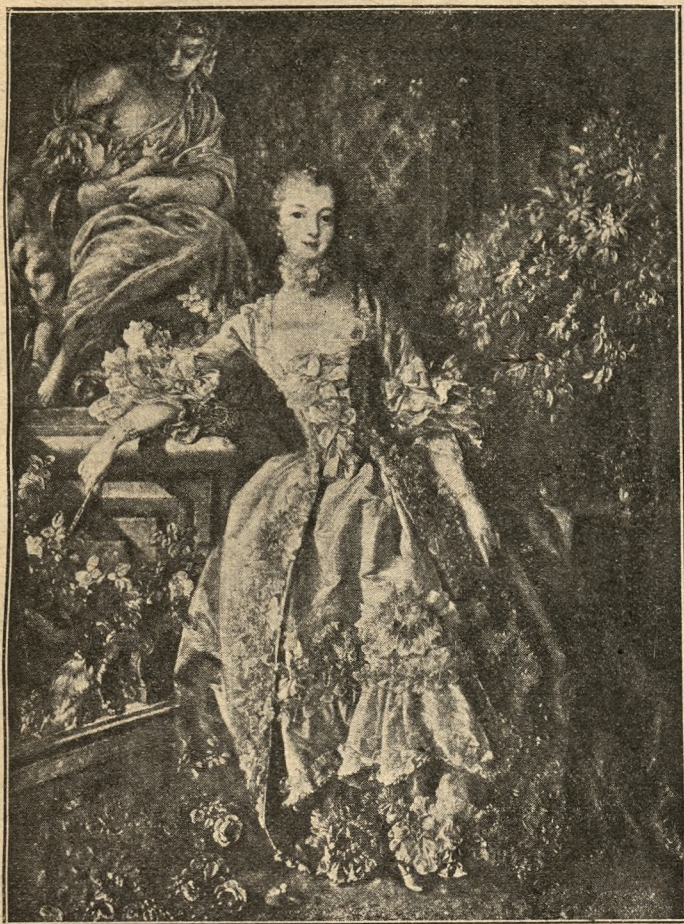
OBRAZY Z HISTORJI MODY

IV. ROKOKO

200 lat później.

W zasadzie zmieniło się bardzo mało. Człowiek stylizuje się dalej, w innym wprawdzie duchu, ale nadal zupełnie niezależnie od przyrodzonych swoich warunków. To przeinaczanie siebie, ta gra fantazji na własnej postaci, staje się teraz jakimś dzikim wyścigiem. Wymyśla się coraz to bardziej niesamowite formy, coraz to dalsze od kształtów jakichkolwiek żywych stworzeń. Żaden wzgląd — czy to zdrowia, czy wygody, czy swobody ruchów — nie wstrzymuje rozpętanej wyobraźni. Wykręca się członki i koszlawi ciało ludzkie, mając na oku ten jeden tylko wzgląd: artystyczną, czy też estetyczną wartość stworzonej figury.

Naprawdę zmienił się nietylko stosunek do ciała, ile właściwości ideału formalnego. Ideałem kobiety stała się teraz jakaś istotka lekka, kapryśna, krucha, jak porcelana, misterna, jak zabawka, biało-różowa, o ruchach drobnych, jak ruchy lalki. Poważna matrona poprzednich okresów, ze swoim krokiem posuwistym, znika z powierzchni ziemi — a raczej nietylko ziemi, ile salonu. Ideałem staje się postać, która nie podlega prawom ciężenia. Sposób, w jaki się urzeczywistnia to marzenie, jest z artystycznego punktu widzenia bardzo ciekawy. Cała postać kobieca dzieli się jakgdyby na trzy zasadnicze części: górna, t. j. głowa, wydłużona i rozszerzona niepomiarnie przez perukę, dochodząca do jednego metra wysokości; tułów, w obcisłym, króciutkim staniczku, małeńki i misterny; — część dolna, jak olbrzymia półkula, o średnicy, dochodzącej do dwóch metrów. W zasadzie taki zespół form powinien być ciężki. Opiera się wszakże na [ziemi] powierzchni olbrzymiego koła. A jednak przemyślny artyzm przeróżnych dodatkowych środków sprawia, że efekt ogólny tak wystylizowanej figury daje wrażenie lekkości. Na czem to polega? Przede wszystkim, suknia nie dosięga ziemi, i z pod szerokiej, rozpiętej na krynolinie spódnicy widać dwie nóżki małeńkie, jak nóżki rokokowych stolików. Na całej powierzchni sukni rozrzucone są ozdoby, których cechą charakterystyczną jest lekkość: koronki, falbanki, kokardy, girlandy itd. Ale najważniejszym środkiem, którym posługuje się artyzm tej mody, jest barwa. Kolory są wszystkie, jak z mgły, pastelowe i lekkie. A więc: — blado-niebieski, blado-różowy, blado-żółty, srebrzysto szary itd. Wszelka ciemna plama jest usunięta. Twarz umalowana, włosy zakryte białą peruką. Wszystko to razem tworzy jakby menuet barw. — W ubiorze panów męskość i powaga nie znajdują swego wyrazu. Upudrowani spodeńkach i pantofelkach na białych pończochach, są tylko jakby innym typem zabawki. Ich szpada ni



kogo nie przestraszy. Wydaje się ona już tylko przytępieniem i salonowym dodatkiem.

Trzeba jeszcze zaznaczyć, że uchodziło za nieprzyzwoitość pudrować się tak, by imitować dobrą cerę. Chodziło raczej o to, by się ładnie umalować. Tylko kobiety złego prowadzenia starały się robić sobie rumieńce naturalne; panie z dobrego towarzystwa umieszczały czerwone plamy na pomalowanych na biało policzkach, tak jak to czyni artysta z figurkami porcelanowymi. Czarne plasterki, t. zw. muszki, miały poza swoją pikanterją jeszcze znaczenie symboliczne: zależnie od kształtu i miejsca, na którym były nalepione, oznaczały miłość, nadzieję, spotkanie i t. d. i t. d.

Wydaje się to wszystko czarodziejskim i rozkosznym obrazem. W białych salonach, obitych błękitnymi tapetami, obwieszonych jasnymi gobelinami, pełnych złocen, żyrandoli i kryształów, na biało-złoty mebelkach o cienkich nóżkach—zasiadały znużone panie, poziewając za wachlarzami, lub też prowadząc mniej lub więcej dwuznaczne rozmowy. Panowie patrzyli przez złote „lorgnon“ i wybierali sobie bohaterki najbliższych awantur miłosnych. Grano na gitarze, snuto niesłychane intrygi, nudzono się potrosze, lecz z honorem, kochano się z większą perfidją, aniżeli namiętnością. Niekiedy marzono, niekiedy mówiono o filozofji, lub literaturze. Lecz tylko w miarę—na ile pozwalały prawa salonu. Wszystko, bowiem,

co mogło wyglądać na pracę, było wyklęte. Dla zajęcia rąk wymyślono wówczas niebywałe rzemiosło: panie kupowały metrami borty, czyli tak zwane tresy, i, siedząc w salonie — pruły. Wyprute nici dawano potem znowu do warsztatu i utkaną na nowo bortę — pruto niezmordowanie dalej. Zwało się to „parfilage“. Tak bawiło się rokoko i tak bawili się jego następcy za Ludwika XVI.

Inna rzecz, że sprawa miała także swoje brzydkie strony. Że uroczę peruki, przystrojane metrami wstążek, strusiami piórami, okręcikami z masy perłowej itd. posiadały całkiem niepożądanych mieszkańców. Bardzo przykrych. W tym celu piękni panowie i panie nosili ze sobą złote grabki, także kowadełka i młoteczki. Łazienka istniała wprawdzie w pałacach królewskich — ale tylko królewskich — i używana była bardzo rzadko. Mycie uchodziło wogóle za rzecz wysoce niezdrową. Wystarczał tylko puder i perfumy. Bielizna nie należała do elegancji. Zmiany bielizny dokonywano jaknajrzadziej i bez przekonania, a wogóle posiadano jej zdumiewająco mało.

Nie należy tylko zapominać o jednym: że w całej tej upudrowanej bajce brała udział znikoma część społeczeństwa. Właściwie tylko dwór i arystokracja. Reszta — lud, mieszczaństwo i większość ziemiaństwa — ponosiła tylko najsmutniejsze skutki tej zabawy. Wszak żywna Francja cierpiała głód, podczas gdy niesłychane ilości mąki szły na puder. To też reakcja była bliska. W warstwach niższych rozpoczyna się w tym czasie proces fermentacji i burzenia, który miał się zakończyć wulkanicznym wybuchem rewolucji.

Stefanja Zahorska.

WYKSZTAŁCENIE ZAWODOWE KOBIET

V

Rzemiosła

W żadnej dziedzinie pracy niema chyba tak wyraźnego rozgraniczenia na pracę męską i kobiecą, jak w rzemieślnictwie, i to z wyraźnym pochyleniem na niekorzyść kobiet. Bo pomyśleć: — mamy kowali, stolarzy, przeróżnych mechaników i elektrotechników wyłącznie mężczyzn; z drugiej strony zaś mamy krawcowe i krawców, introligatorki i introligatorów, zecerki i zecerów, koszykarki i koszykarzy i t. d. Jedynie chyba bielizniarstwo i haft pozostały w rękach kobiet, a kto wie, czy nagle mężczyźni i tutaj nie wkroczą za lat parę? Miejmy nadzieję jednak, że im się to nie uda, a same pomyślny tymczasem, co może zdziałać kobieta w rzemiosle. Oczywiście, nie może być kowalem, ani nawet stolarzem (choć ślusarzem — doskonale), i nie chodzi tu nawet, broń Boże! o żadną

„niesprawiedliwość społeczną“, której zapewne zaciekle feministki szukają w pierwszych słowach mojego artykułu.

Chodzi poprostu o siłę fizyczną. Trudno! musimy się do tego przyznać, że nawet taka najbardziej wysportowana niewiasta nie podźwignie młota kowalskiego, ani innej maszyny w tym rodzaju. Rzemieślnictwo kobiece polega na tak zwanej „dłubaniu“, mniej lub więcej artystycznej, mniej lub więcej pożytecznej. Nasze prababki „dłubały“ bardzo artystycznie, ale może niekoniecznie pożytecznie, gdyż dbały przede wszystkim o zabicie czasu; nazywało się to haftem i, jako taki, weszło w nasze życie z cokolwiek zmienionem zastosowaniem: stało się pracą zawodową. Pozostało jednak na nim piętno dawnej wielkopańskości, luksusu, który czyni go mało popłatnym. Jedyna odmiana—haft bielizniany—ma większy zbyt, ale wchodzi on już w tak zwane bielizniarstwo, które jest już typowem „rzemiosłem“, mającem na celu przede wszystkim pożytek.

Stosunek kobiet do rzemiosł nie jest specjalnie rozsądny: znowu ma się do czynienia z olbrzymią górą przesądów, przechowanych, niby stare krynoliny w babcinym kufrze: a to, że „niewypada“, że „dziewczyna z dobrego domu, żeby na krawcową szła, albo zecerstwa, czy tkactwa się uczyła“ i t. d. No i oczywiście „dziewczyna z dobrego domu“ siedzi w domu, albo stuka na maszynie w jakimś podrzędnym biurze (porządne—wymagają kwalifikacji) za 120 zł. miesięcznie.

A tymczasem rzemiosło potrzebuje sił inteligentnych, wykwalifikowanych i wzamian daje przeważnie zupełnie dobre zarobki.

Ileż to młodych dziewcząt ma zamiłowanie do rękodzielnictwa, bez specjalnych artystycznych zdolności: lubią lepić, szyć, majstrować z drzewa lub tektury różne drobiazgi; są w robocie dokładne i zręczne, jedynie pozbawione specjalnej inwencji i artystycznych ambicji. Wahać się wóczas nie należy: rzemiosło dzieli się na tyle przeróżnych działów, że każda napewno znajdzie coś, co w zupełności będzie odpowiadało jej zamiłowaniom i zdolnościom.

Jak zaznaczyłam na początku niniejszego artykułu, są rzemiosła, dostępne dla kobiet, lub takie — o których nie powinny nawet myśleć. Do „kobięcych“ rzemiosł należą: krawiecczyzna i bielizniarstwo, tkactwo, trykotarstwo, introligatorstwo, koszykarstwo, zecerstwo, kamasznictwo (aha! właśnie, że są szewczynie, okazuje się), czapnictwo, jubilerstwo no i ostatnio — szoferstwo.

Odpowiednich szkół jest w Polsce bardzo dużo. Dzielą się one na niższe i średnie. W szkołach typu niższego kurs trwa 3 lata; jako warunki przyjęcia, wymagane jest 5 klas szkoły powszechnej.

Z państwowych szkół niższych mamy: Częstochowa (ul. Panny Marji 60) Państwowa Szkoła Zawodowa—dział: krawiecczyzna; Gliniany (Woj. Lwowskie) Państwowa Szkoła Tkacka; Grodno (Pl. Piłsudskie-

go 28) Państwowa Szkoła Zawodowa Żeńska — dział krawiecko-bielizniarski; Łuck (ul. Katedralna 8) Państwowa Szkoła Zawodowa Żeńska: krawiectwo i bielizniarstwo; Nowy Targ (Woj. Krakowskie) Państwowa Szkoła Zawodowa Spisko-Orawska—działy: krawiecczyzna, tkactwo, trykotarstwo.

Niepaństwowe: Gniezno — Szkoła Zawodowo-Przemysłowa Żeńska: krawiectwo i bielizniarstwo. Klimontów (Woj. Kieleckie) Niższa Szkoła Zawodowa Żeńska Stow. „Nauka i Praca“—działy: krawiecczyzna, trykotarstwo, introligatorstwo i tkactwo; Marjówka (poczta Przysucha, z. Radomska) Szkoła Gospodarczo-Rzemieślnicza — działy: tkacki, koszykarski, szycie, krój, zecerstwo.

Warszawa (Tylżycka 2) Szkoła Zawodowa Żeńska — działy: krawiecczyzna, introligatorstwo, haft; Warszawa (Sienna 87) Żeńska Szkoła Zawodowa — dział: krawiecczyzna; Warszawa (Lipowa 14) Szkoła Zawodowa Żeńska — dział krawiecko-bielizniarski; Warszawa (Praga, Białostocka 1) III-cia Miejska Szkoła Rękodzielnicza—dział krawiecczyzny i bielizniarstwa; Wilno (Ostrobramska 29) Szkoła Zawodowa dla dziewcząt—dział bielizniarsko-krawiecki; Wilno (ul. Św. Anny 10) Szkoła Zawodowa; Wilno (ul. Stefańska 36) Szkoła Zawodowa.

Szkoły Przemysłowe średnie wymagają 4 klas szkoły średniej, lub 7 klas szkoły powszechnej. Kurs, tak samo, jak i w niższych, trwa 3 lata.

Z państwowych szkół średnich mamy następujące:

Kraków (Syrokomli 12) Państwowa Szkoła Zawodowa Żeńska — działy: krawiecki, bielizniarski, kilimkarski, modniarski; Lublin (Żmigród 3) Państwowa Szkoła Zawodowa Żeńska — dział bielizniarki, krawiecki, introligatorski; Lwów (Zielona 8) Państwowa Szkoła Zawodowa Żeńska — dział bielizniarski, krawiecki, modniarski; Łódź (Narutowicza 77) Państwowa Szkoła Zawodowa Żeńska — działy: kamasznictwo, krawiectwo, modniarstwo, czapnictwo, jubilerstwo; Poznań (ul. Zwierzyniecka 4) Państwowa Szkoła Przemysłowo-Handlowa; Sosnowiec (Karpacza 2) Państwowa Szkoła Zawodowa Żeńska; Warszawa (Wilcza 16) Państwowa Szkoła Przemysłowa Żeńska; Wilno (Żeligowskiego 1) Państwowa Szkoła Przemysłowo-Handlowa Żeńska—dział krawiecki i tkacki.

Szkoły niepaństwowe:

Częstochowa (ul. Panny Marji 60) Szkoła Przemysłowo-Handlowa — dział bielizniarski i krawiecki. Krasnystaw (Woj. Lubelskie) Szkoła Przemysłowo-Handlowa Żeńska—dział krawiecczyzny i trykotarstwa. Rzeszów (ul. Grunwaldzka) Miejska Szkoła Przemysłowa Żeńska — dział bielizniarstwa, krawiecczyzny i modniarstwa; Warszawa (Mokotów, Dolna 12) I Miejska Szkoła Rękodzielnicza—dział: tkacko-kilimkarski i bielizniarski; Warszawa (Szczęśliwa 6) II Miejska Szkoła Rękodzielnicza — dział krawiecczyzny i bielizniarstwa.

Oprócz powyższych szkół istnieje prawie w każdym mieście bardzo wiele odpowiednich kursów, które nie wymagają żadnego cenzusu naukowego, stoją przeważnie na poziomie szkół, wyżej wymienionych.

Bardzo ważną rolę w rozwoju rzemiosłnictwa kobiecego odgrywa Państwowe Seminarjum nauczycielek rzemiosł, mieszczące się w Warszawie, przy ul. Nowowiejskiej 43c. Po ukończeniu tego Seminarjum, otrzymuje się prawie zawsze posadę, gdyż jest to jedyna instytucja w Polsce, przygotowująca tego rodzaju nauczycielki.

Prócz tych szkół, obejmujących prawie wszystkie działy kobiecego rękodzielnictwa, istnieją jeszcze w Warszawie, przy ul. Wspólnej 81, Żeńskie Kursy Techniczne, które kształcą kobiety w zawodzie budowlanym. Nie wydaje mi się to jednak zbyt praktyczne, bo pomijając trudności w zdobyciu tej iście „chłopczyńskiej“ wiedzy — kto powierzy kobiecie tak ważną funkcję, jaką jest budowanie domu?! Dużo wody upłynie, zanim ludzkość zrozumie, że właśnie kobieta taki dom najlepiej stworzyć potrafi.

Co się tyczy tych, tak modnych obecnie „szoferek“, to każde kursy szoferskie przyjmują kobiety. W Warszawie najlepszą opinią cieszą się kursy Froma i Prylińskiego.

Myszę, że za parę lat tak przerażająca ongi rodzicielska groźba: „oddam cię do rzemiosła!“ — straci cokolwiek na swojej okropności, i nawet panienki „z dobrego domu“ będą zdolnymi zecerkami, introli-gatorkami, krawcowymi i t. d. Napewno im się to lepiej opłaci, aniżeli bezczynne oczekiwanie na męża, który nie zawsze chce się zjawić.

Zofja Miszewska.



GOŁĘBIE

Kwestja użyteczności gołębi domowych, doniedawna sporna, zdaje się dzisiaj przechylać całkowicie na stronę zwolenników tego łatwego do wyhodowania, niezbyt kosztownego, a przytem nieszkodliwego ptaka.

Pozostające na wolności gołębie żywią się wprawdzie ziarnem zbożowym, ale cechą ich swoistą jest wybieranie tych ziarn ze ściernisk, oraz ogałacanie z nich kłosów, rozsypanych po sprzecie i zwózce na polach i przydrożkach. Gołąb naogół nie niszczy zasiewów, ani też kłosów, wznoszących się dumnie na łanach zbożowych. Zadowolnia się, jak już o tem wspomniałam, zbieraniem ziarn i kłosów porzuconych, a przedewszystkiem nasionami szkodliwych chwastów, które stanowią jego najulubieńsze pożywienie. Wyka tak często wyrastająca wśród uprawnych łanów, pociąga najsilniej gołębie, to też nawet ptactwo, zauwa-

żone w polu, szuka częściej tego ulubionego przysmaku, niż ziarn zbożowych. Prócz wyżej wymienionej karmy, gołąb żywi się chętnie tatarką, grochem i siemieniem konopnym; turkawki przepadają za jednokorupowemi drobnemi ślimaczkami.

Pruskie ministerstwo rolnictwa zarządziło w roku 1877 doświadczenia, mające na celu ustalenie użyteczności gołębi. Wyniki tych doświadczeń wypadły nadwyraz pomyślnie, albowiem w wolach 127 badanych gołębi znaleziono:

- 31.461 ziarn zbożowych,
- 63,932 ziarna szkodliwych chwastów, oraz
- 9 gatunków różnorodnych ślimaków.

Zestawienie to rzuca należyte światło na niesłuszne zarzuty, stawiane hodowcom gołębi, jakoby przyczyniali się do przysparzania rolnictwu szkodników; tem więcej, że badanie ziarn, odnalezionych w wolach ptactwa, wykazało, że pochodziły one niezaprzeczenie z kłosów, rozsypanych na ścierniskach i drogach, a nie z siejby, lub okresu dojrzewania.

Gołąb, jako szkodnik, występuje wtedy jedynie, jeżeli nie jest dostatecznie żywiony w gołębniku, lub jeżeli rozmnaża się w danej okolicy nazbyt silnie i stanowi jej plagę.

Kał gołębi, wyposażony w poważny odsetek związków azotowych, zaliczany bywa chętnie do najcenniejszych nawozów ogrodowych, lecz używać go trzeba umiarkowanie, albowiem, jak wszystkie nawozy ptasie, jest silnie skoncentrowany i palący.

W hodowli gołębi różróżniamy dwa zasadnicze kierunki: hodowla gołębi, przeznaczonych na mięso, i gołębi sportowych.

Badacze ras, oraz zawodowi hodowcy gołębi, dzielą je, w zależności od budowy ciała, głosu, sposobu latania, wielkości i właściwości upierzenia, na 10 poniżej podanych grup:

- 1) Gołębie polne.
- 2) Turkoty.
- 3) Latawce.
- 4) Peruki.
- 5) Mewki.
- 6) Pawiaki.
- 7) Garłacze.
- 8) Brodawczaki i gołębie wschodnie.
- 9) Gołębie olbrzymie.
- 10) Gołębie-kuraki.

Do pierwszej grupy (Gołębie Polne) zaliczamy:

Lazurki — o jasno-niebieskiem upierzeniu bez odmian i takim samem upierzeniu z dodatkiem czarnych pasów na skrzydłach, z białemi pasami z nikłą czarną obwódka, wreszcie lazurkowe, czarno łuskowe, z czarnemi pasami i biało łuskowane z białemi pasami, t. zw.—porcelanki.

Gile — nadwyraz ozdobne, z czubem na głowce. Szyja, piersi i brzuch — złocisto-żółte, lub miedziano-czerwone, połysk metaliczny. Ogon, grzbiet i skrzydła — niebieskie, lub czarne. Prześliczną odmianą gili

są gile żółte, o skrzydłach i ogonie izabelowatym z żółtymi, lub czerwonymi pasami.

Gołębie szwajcarskie. Śmietankowo-białe tło upierzenia. Na piersiach półksiężycowaty rysunek czerwono-żółty, także pasy na skrzydłach.

Gołębie białoogoniaste. Zaliczamy do ich grupy wszystkie te gołębie polne, które przy odmiennej barwie upierzenia odznaczają się białymi ogonami i białą plamką na czole, ponad dziobem.

Popy — z białą tonsurką na łebku i pękiem białych piórek, otaczających część dzioba pomiędzy jego obsadą, a nozdrzami (rys. 1).

Zakonniki — podobne do popów, z tą jedynie odmianą, że barwa biała rozciąga się na cały łebek, ogon i skrzydła. Nogi najczęściej upierzone.

Jaskółki — białe upierzone, loty i upierzenie nóg kolorowe. Głowa niejednokrotnie barwnie znaczona.

Dominikany — białe z kolorową tarczą na skrzydłach.

Gołębie fryzowane — rozmaitej barwy, znaczone fantastycznie, odznaczają się piórami skrzydeł, skręconymi w loczki.

Skowronki — podobne upierzeniem do skowronków, od których też biorą nazwę. Ogólne tło upierzenia szare, lub szaro-żółte, piersi żółte.

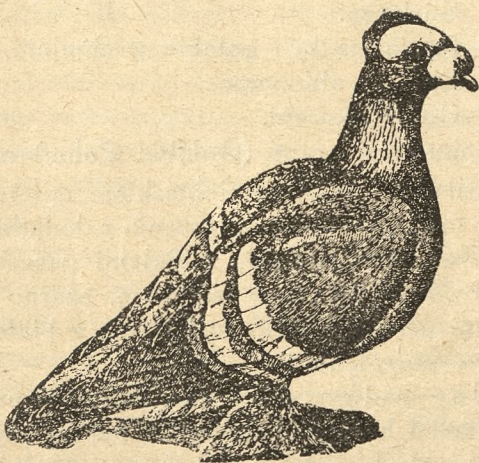
Szpaki — upierzenie lśniaco-czarne, biały półksiężyc na piersiach, białe pasy na lotach.

Grupa druga: — Turkoty (rys. 2).

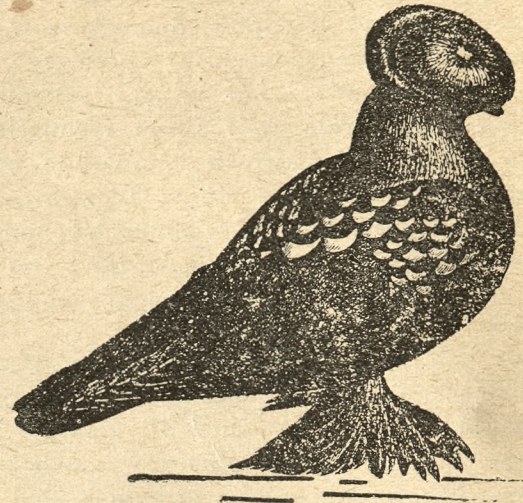
Pierwszorządne zalety turkotów wysuwają je na pierwszy plan wśród ras, podatnych do krajowej hodowli. Odporne na nasz klimat, dostarczają dużo dobrego mięsa; dają od 8—10 lęgów w ciągu roku, o ile mają dobrze zabezpieczone i ciepłe gołębniki.

Turkoty odznaczają się ciężkim lotem, to też należy im stawiać specjalne, niezbyt wysokie, gołębniki, i dbać o dostateczne wyżywienie, gdyż żerują wolno tylko wówczas, jeżeli pola lub łąki znajdują się bardzo blisko gołębnika.

Upierzenie turkotów jest nadzwyczaj bujne. Charakterystyczną ich cechą są różę, obsadzone ponad



Rys. 1



Rys. 2

dziobem, a składające się z licznych drobnych piórek. Niektóre mają też wspaniałe czuby poprzeczne, ciągnące się od ucha do ucha...

Upierzenie, co do barwy, bardzo urozmaicone. Skrzydła długie, słabo przylegające, a sięgające aż końca ogona.

Turkoty odznaczają się specjalnym sposobem gruchania, które przypomina łoskot bębna. Gruchanie to trwa długo i jest oznaką zarówno radości, jak i rozdrażnienia; wydobywa się z wydętego wola, a ptak, wydając ten głos charakterystyczny, siedzi zazwyczaj bez ruchu.

Grupa trzecia: — Latawce, czyli wywrotki.

Zgrabna i smukła postawa jest charakterystyczną i ogólną cechą gołębi, „Latawcami“ zwanych. Wytrwałe w locie, koziółkują w powietrzu, wzbijając się wysoko w górę. Trzymane czas dłuższy, z pokolenin na pokolenie, zatracają łatwo swoiste cechy latania.

Latawce dzielimy na trzy grupy: długodziobe, średniodziobe i krótkodziobe. Do długodziobych zaliczamy: Polskie siwki i sroki, warszawskie murzyny, latawce holenderskie, duńskie, hanowerskie i wiele innych. Do średniodziobych: polskie koroniarze, białki i gancje. Do krótkodziobych: latawce wiedeńskie, almondy, altstemery, szeki lwowskie, oficery i inne.

Grupa czwarta: — Peruki.

Peruki, czyli t. zw. Łyski — oryginalnie i fantazyjnie upierzone, bywają koloru: czarnego, czerwonego, lub niebieskiego. Lotki, sterówki i główki czysto białe.

Grupa piąta: — Mewki.

Mewki odznaczają się bardzo łagodnym usposobieniem. Łatwe do oswojenia, nie żerują w polach, ani też odlatują daleko od gołębnika. Wdzięcznej postawy są niewielkiego wzrostu: ciało krótkie i krępe, niemniej pięknie zbudowane. Bardzo dekoracyjne mewki szczytą się swymi żabotami, których pióra wyrastają od dołu ku górze, układając się na piersiach w kształt kolistej różę,

Grupa szósta: — Pawiaki.

Pawiak, który wzbudza dłuższy czas tyle zawziętych sporów o przynależność swoją, przestał być klasyfikowany podług kraju, w jakim go wyhodowano, jak również nosić jego nazwę. Pawiaki dzielimy dzisiaj nie na: szkockie, niemieckie, francuskie i t. p., lecz na: srebrno-szare, białe, czerwone, żółte, niebieskie i czarne.

Pawiaki odznaczają się niewielkiem, krótkim i szerokim ciałem, długą i cienką szyją, tak silnie wygiętą, że głowa u prawidłowo zbudowanego pawiaka spoczywa tuż przed ogonem. Ogon powinien być szczelnie upierzony, bez luk, pióra szerokie i doskonale do siebie przylegające. Ogon pawiaka, roztoczony kolisto, nie może zaznaczać pochylenia, ani do przodu, ani też do tyłu; w takich jedynie warunkach zaliczyć możemy okaz do rasy czystej. W. D.



RYBY MORSKIE

Nie możemy jakoś pogodzić się z tem, że mamy własny brzeg morski, obfitujący we wszelkiego rodzaju smakowite ryby. Nie lubimy tych ryb, nie umiemy ich przyrządzać, nie możemy się pozbyć różnych, w stosunku do nich, przesądów. Wszędzie na świecie ryby morskie są uważane za dużo wykwintniejsze od rzecznych; stanowią one konieczną część składową większych przyjęć, kolacyj i obiadów. Słynny kucharz francuski, Vatel, przebił się szpadą z rozpacz i umarł na miejscu, gdy ryby morskie nie przyszły naczas na wielki bankiet królewski, — zastąpienie ich rybami rzeczniemi lub jeziorowemi uważał za hańbę, której nie był w stanie przeżyć. U nas inaczej. Wszystkie panie i panusie, a za nimi ich kucharki i inne służebnice, wmówiły sobie, że niema ryby ponad karpia i szczupaka. Co do pierwszego — jest rzeczywiście dobry, o ile jest dobrze przyrządzony; szczupak natomiast jest rybą suchą, łykowatą, która w Rosji, obfitującej w rzeczywiście wykwintne ryby, była w zupełnej pogardzie: pozostawiano ją wyłącznie żydom. Na Kresach Wschodnich szczupaki prawie wyłącznie podają faszerowane. Tymczasem całe byłe Królestwo uważa, szczupaka za coś specjalnie smakowitego i przynajmniej na rynku warszawskim szczupak ceni się drożej od sandacza, linów, karpia i karasi. Wszystkie zaś te ryby, razem wzięte, są tak drogie, że zupełnie niedostępne dla pracującej inteligencji — jedzą je żydzi i paskarze.

Wprowadzenie ryb morskich do naszych codziennych jadłospisów urozmaiciłoby je znakomicie, nie

zwiększając nic a nic wydatków na kuchnię, gdyż są one tanie, nie droższe od codziennie jadanej wołowiny. Tak — ale gdzie dostać tych ryb morskich? Zeszłej zimy paru przedsiębiorczych pomorzan otworzyło sklepy z rybami. Można było u nich dostać — oprócz wszystkim znanych fląder i sielawek, — śledzie świeże, wyborne do smażenia, białe łososie morskie, sandacze i liny morskie, makrele i certy, turboty i potworne reje, i wiele innych, których nazwy polskie nie były mi znane. I, o dziwo! zamiast olbrzymiego zbytu, jakiego należało się spodziewać, nikt prawie tych ryb nie kupował. Miały zbyt jedynie dorsze, właśnie najmniej smaczne, najpospolitsze ze wszystkich ryb morskich. Toteż zniechęceni kupcy pomorscy w roku bieżącym do Warszawy już nie wrócili. W sklepach kolonialnych są wprawdzie owe dorsze, znacznie już droższe, gdyż przeszły przez ręce szeregu pośredników. W paru już dawniej założonych sklepach, handlujących przeważnie rybami wędzonymi i konserwowanymi, można dostać czasem sielawek, a rzadziej — fląder.

Te ostatnie jednak, czekając po dni kilka na nabywców, tracą smak i świeżość i mało przypominają wyborne siostry swe, masami zjadane w czasie letnich wyczasów nad Bałtykiem.

Upredzenie do ryb morskich, przypisywanie im jakiegoś specjalnego zapachu „morszczyzny“, jest tembardziej nieuzasadnione, że te same panie, zjadając w restauracji mniej świeże, bo z Francji przywiezione turboty i sole, delektują się nimi i zapominają zupełnie, że na surowo miały one tenże sam zapach „morszczyzny“. Gdybyśmy się pozbyły kapryśków i przesądów i zaczęły żądać na rynkach różnych ryb morskich, napewno zaczęłyby je sprowadzać w większych ilościach. Na początek należy z tych, których dostać można, starać się zrobić jaknajlepszy użytek. Otóż flądry jadamy przeważnie tylko smażone, tymczasem najdelikatniejsze są właśnie gotowane. Jeśli z ugotowanej na smaku z włoszczyzny z cebulą i pieprzem flądry wyjmemy delikatnie mięso i podamy je z sosem holenderskim, lub zapieczemy w muszelkach z dobrym beszamelem na słodkiej śmietance, — dania te nie będą mniej smaczne, niż gdyby były z francuskich solek przyrządzone. Dorsz, nieco mdły, staje się wyborny, gdy go nafaszerujemy, jak szczupaka, zrobimy z niego kotlety, podamy go, jak lina zapiekanego w śmietanie z cebulą, lub udusimy w czerwonej kapuście. Galareta z dorsza też jest wyborna; kto nie lubi owego zapachu „morszczyzny“, niech doda do niej skórki cytrynowej. Nawet i gotowany dorsz będzie smaczny, jeśli podamy go z jakimś ostrzejszym sosem: chrzanowym, musztardowym, korniszonowym, lub chociażby pomidorowym. Gdy przyzwyczajymy się do tych ryb, powoli kolej przyjdzie i na inne, a że zapotrzebowanie wywołuje podaż, znajdą się wkrótce i one na naszych rynkach.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

ZRAZY Z DORSZA

Kilo dorsza ze środkowej części, gdzie ryba najgrubsza, oczyścić z wewnętrznej grubej skóry, skórę zewnętrzną oskrobać tarką, aby usunąć ostre łuski; pokrajać w poprzek na pięć równych dzwonek, zbić lekko, osolić, zacisnąć cytryną, lub skropić octem; złożyć do miski, aby się ryba przez godzin parę tak marynowała. Można też dodać kilka ziarn pieprzu, ziela i listek, pokruszony drobno. Przed samym obiadem zrazy utarzać w maśle, usmażyć z obu stron na obfitem maśle, przełożyć do nelsonki. Na pozostałym na patelni maśle przysmażyć dużą cebulę, cieniuchno pokrajaną, wsypać łyżeczkę mąki, rozproszyc filizanką rosółu rybnego lub wody, zagotować, wlać pół filizanki gęstej, kwaśnej śmietany i dodać odrobinę pieprzu, lub, kto woli, łagodnej papryki. Wylać sos na zrazy, posypać po wierzchu tartą bułeczką po połowie z ostrym serem, wstawić na parę minut w gorący piec. Do takich zrazów najodpowiedniejszym dodatkiem są kartofle z wody, lub gruby makaron z masłem.

DORSZ GOTOWANY

Do gotowania brać nieduże dorsze, mające około kilo wagi. Ponieważ dorsz ma dużą głowę, która przy gotowaniu łatwo się rozpada, należy po oczyszczeniu i nasoleniu ryby, obwiązać tę głowę kawałkiem płótna, lub muślinu i grubą nitką. Przy oprawianiu ryby usunąć grubą skórę wewnętrzną, rybę nasolić, skropić octem i dać jej tak poleżeć godzin parę. Ugotować smak z litra wody z dużą cebulą, marchewką, pietruszką, kawałkiem włoskiej lub białej kapusty, pieprzem, zielem, listkiem. Gdy włoszczyzna miękka, dorsza ułożyć na kratce, włożyć do wanienki od ryby, zalać smakiem gorącym, nakryć wanienkę pokrywą. Zagotować na silnym ogniu, odstawić na brzeg blachy i gotować dalej wolniutko najwyżej kwadrans. Wyjąć rybę z kratką, przełożyć ostrożnie

na półmisek, zdjąć płótno z głowy, obłożyć kartofłami z wody, na jednym końcu półmiska ułożyć włoszczyznę, co się gotowała w smaku. Do tak ugotowanej ryby podaje się każdy z sosów, używanych do sandacza, a zatem: chrzanowy, kaparowy, cytrynowy, pomidorowy, musztardowy, rakowy, masło z jajami na twardo i t. p. Jeśli nie mamy wanienki do ryb z ruchomą kratką i jesteśmy zmuszeni gotować dorsza w zwykłym rondlu, należy go całego zawinać w płótno i obwiązać grubymi nićmi, gdyż ryba ta nadzwyczaj łatwo się łupie i rozpada.

KOTLETY Z DORSZA

Pół kilo z dużego dorsza — jeżeli bierzemy kawałek z samego środka: — od głowy lub ogona należy brać znacznie więcej, gdyż tam dużo na ości i skórę odpada. Najlepiej, kupując dorsza, głowę i kawałek cienki od ogona użyć na zupę, środek zaś najbardziej mięsisty — na kotlety lub zrazy. Skórę i ości odrzucić, czyste mięso zemleć na maszynce dwa razy; poraz drugi mieląc, dodać dwie bułeczki, warszawianki, wymoczone w wodzie lub mleku. Dwie cebule utrzeć na tarce, usmażyć tę masę w łyżce masła, nie rumieniąc wcale, dodać to do ryby, wbić duże jajko, osolić, popieprzyć. Latem wsypać garstkę zielonego koperku, jaknajdrobniej usiekanego; zimą — trochę majeranku, lub utartej galki muszkatołowej. Wyrabiać masę ręką, lub drewnianą łyżką tak długo, aż od jednej, lub drugiej odstanie. Uformować osiem kotlecików, utarzać je w tartej bułeczce po połowie z mąką i usmażyć na maśle, dodając do masła trochę najlepszej oliwy. Ryba, smażona na czystym maśle, łatwo się przypala. Dobra oliwa nicejska wcale smaku masła nie zmienia, a daje możliwość ładnego zrumienienia ryby. Do takich kotletów podaje się sałatę zieloną, ogórki kwaszone, sałatę z czerwonej lub kiszzonej kapusty, lub też obkłada się niemi makaron, purée kartoflane, groszek, marchewkę, zieloną fasolkę, brukselkę, lub inną jaką jarzynę.

Pani Elżbieta.

„ZIMNE NAPOJE“

SPOSOBY PRZYRZĄDZANIA KRUSZONÓW,
LIMONJAD I RÓŻNYCH ZIMNYCH NAPOI

Cena 1 zł. 50 gr.
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

LABORATORJUM

HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Galaretki na łupież. „Mój krem“ przeciw zmarszczkom „Mój puder“, Krem cytrynowy. Krem pomarańczowy. Galaretki na rozszerzenie porów i łojotok. Perekłki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe, liljowe i ziołowe. Róże higieniczne. Maski na twarz. Maść na piegi. Krem śmietankowy suchy. Krem orzechowy na opalenie się.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Krak. - Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.